MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 39. WARSZAWA, 9 WRZEŚNIA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

ANTYLIBERALIZM A PRAWO

IDEOLOGJA LIBERALIZMU, który swój najwybitniejszy wyraz znalazł w deklaracjach praw człowieka, jest dzisiaj w ruinie. Nikt nie usiłuje budować ustroju państw na pojęciu niewzruszalnych praw jednostki. Upadł parlamentarny ustrój w wielu krajach, zwłaszcza w tych, do których przybył z zewnątrz, a nie był produktem ich rodzimego rozwoju. Reakcja antyliberalna wyraziła się w powstawaniu rządów, które raz nazywa się faszystowskiemi, innym razem dyktatorskiemi, a których wspólną cechą jest skupienie całej władzy, niczem nieograniczonej, w rękach jednego człowieka, względnie grupy rządzącej, nieodpowiedzialnej przed jakimkolwiek innym ośrodkiem władzy w państwie.

Czy jednak przypadkiem ta reakcja przeciw dawnemu ustrojowi nie idzie za daleko? Czy nie rozpędziła się tak, że trudno przyjdzie jej zdobyć własną równowagę? Nasuwa się następująca wątpliwość zasadniczej natury: czy reakcja przeciw ustrojowi liberalnemu, opartemu na idei praw jednostki, nie przerodziła się przypadkiem w reakcję przeciw rządom, wogóle opartym na prawie?

Zwolennicy rządów autorytatywnych występują przeciw ideologji rewolucji francuskiej, przeciw pojęciom prawnym, które na jej tle się rozwinęły. W praktyce jednak idą jeszcze bardziej wstecz. Przeciwstawiają się pojęciom prawnym, które wykształciły się już w średniowieczu, a istniały w zmienionej postaci w epoce absolutyzmu.

Jeżeli kto obala dawny ustrój, dawne prawo, to tylko wtedy dokona trwałego dzieła, jeżeli, na miejsce dawnego, stworzy prawo nowe. A niema jeszcze nowego prawa, jeżeli grupa rządząca może robić co chce, jak chce i kiedy chce. Rządy te mogą być bardzo silne, stosować przymus i gwałt bez żadnych przeszkód, przez długie nawet lata nie mieć żadnego czynnika, któryby się im przeciwstawiał i je hamował; jednakże nie potrafią się utrzymać, o ile swojej dowolności nie przeobrażą w trwałe instytucje prawne.

Prawo nie jest czemś identycznem z przymusem. Przymus jest jednym ze składowych pierwiastków pojęcia prawa, ale nie jest jego istotą. Prawo są to normy ogólne, których przekroczenie pociąga za sobą sankcje przymusowe. A tem samem prawo jest ograniczeniem dowolności i przypadkowości w stosunkach społecznych. Gdyby w jakimś kraju przyjęto konstytucję tej treści: jednostka lub grupa rządząca ma pełną swobodę rozstrzygania o wszystkiem w każdym poszczególnym wypadku według swobodnego uznania, to nie moglibyśmy tego nazwać „konstytucją" we właściwem wyrazu znaczeniu. Konstytucja to coś trwałego, a nie proklamowanie dowolności.

Źródłem prawa jest siła — zgódźmy się, dla uproszczenia, na takie sformułowanie. Jednakże *à la longue*, siła nie zastąpi prawa. Naprawdę twórcza siła dziejowa musi się przeobrazić w prawo, wyrazić w nowem prawie. Przypuśćmy, że gdzieś w głębiach czarnego kontynentu istnieje plemię murzyńskie, rządzone przez wszechwładnego kacyka; może on robić, co chce, z życiem i mieniem swoich poddanych, zabrać jednemu jego pole, drugiemu żonę, trzeciego przeznaczyć na swój stół na dzień jutrzejszy. Rządy tego kacyka będą rządami

bardzo silnemi; ale nie nazwiemy ich rządami cywilizowanemi. A ta sama zasada, zastosowana do miljonów ludzi, w wielkiem państwie XX wieku, również będzie sprzeczna z cywilizacją.

Konsekwencją powstania ustroju prawnego jest ograniczenie swobody działania prawodawcy. Prawo przez to, że jest normą ogólną, krępuje nietylko rządzonych, lecz także i rządzących. Czynnik władzy zobowiązuje się do tego, że w stosunku do rządzonych nie będzie postępował dowolnie, lecz zastosuje, w razie przekroczenia przez nich prawa, ściśle określone sankcje. Jednostka lub grupa społeczna wie, co ją czeka, co ma robić, co jej wolno, a czego nie wolno. Dzięki powstaniu ustroju prawnego nabywa pewnych praw, które ograniczają działanie siły rządzącego czynnika.

Dzięki prawu wchodzi w życie bardzo ważny pierwiastek cywilizacyjny: stałość stosunków społecznych. By tę stałość zabezpieczyć, przewiduje się różne stopnie trwałości obowiązujących norm prawnych. W wielu państwach odróżnia się konstytucję, której zmiana wymaga specjalnej, trudnej procedury, od zwyczajnych ustaw, które też nie mogą być zmieniane z dnia na dzień. Ustawy ograniczają zakres działania władz administracyjnych, określają wypadki wydawania zwyczajnych aktów administracyjnych. Powstają instytucje sądowe, którym przyznaje się niezależność; daje się ludności możność dochodzenia swojego prawa w sądach przeciw aktom władzy wykonawczej; wprowadza się prawną odpowiedzialność organów władzy.

Ta tendencja do stałości stosunków prawnospołecznych, do tego, by obok zmiennych pierwiastków życia zbiorowego istniał trwały ustrój prawny, by organizm społeczny miał swój kościec, swoją „konstytucję", nie jest wytworem dopiero epoki liberalnej. W średniowieczu np. źródłem trwałości stosunków prawnych był przywilej. Przywilej, wydany jednostce, kościołowi, miastu i t. d. stwarzał prawne warunki bytu; przywilej mógł być odwołany tylko w określonych warunkach. Jeżeli wydano go na wieczne czasy, grupa uyrzywilejowana broniła się zawzięcie przed jego naruszeniem. Wystawca przywileju powoływał się uroczyście na Boga na świadka, że tego przywileju nie naruszy. Wyłączenie miasta lub wsi z pod jurysdykcji lokalnej, poddanie pod bezpośrednią władzę króla było nieraz podstawą rozwoju gospodarczego, bo zabezpieczało trwałość stosunków społecznych.

Pisze się wiele dzisiaj, w przeciwstawieniu do epoki liberalizmu, o „powrocie do średniowiecza". Przypuśćmy, że chcemy do niego wrócić; ale do którego średniowiecza? Przecież średniowiecze obejmuje około 1.000 lat rozwoju dziejowego. Reakcja przeciw liberalizmowi nie musi sięgać tak daleko, by w wielkim rozpędzie przenosić się aż do samych początków tej epoki, do ciemnych wieków, kiedy rycerz-bandyta, siedzący w zamku na skale łupił kupców i okoliczną ludność, kiedy mieszkaniec, niepewny swego życia i mienia, poddawał się pod władzę pana na określonych warunkach prawnych lub szukał oparcia w klasztorze, wyposażonym już w przywileje. W ten sposób w wiekach średnich siła przeradzała się w prawo. A możeby lepiej było sięgnąć do już rozwiniętych instytucyj średniowiecznych, które jednak, zgodnie z nauką Kościoła, uznawały pewne prawa jednostki, do średniowiecza, które np. prawu własności nadało określoną treść i stałość?

W czasach merkantylizmu i oświeconego absolutyzmu, mimo wzmocnienia władzy wykonawczej, istniały instytucje, które ją krępowały. Nawet Ludwik XIV, choć mówił: „państwo to ja", musiał liczyć się z obowiązującem prawem, z przywilejami prowincyj, stanów, z kontrolą sądowych instytucyj (parlamentu). Stare prawo nieraz było hamulcem rozwoju. Ale chroniło od nagłych przewrotów, zapobiegało niwelacji społeczeństwa.

Nowe ustroje powstają zwykle w drodze rewolucyj. Niszczą dawne prawo. I jest rzeczą zrozumiałą, że przez pewien czas istnieje chaos, poczucie prawne jest poderwane. Ale grupa rządząca, poczuwająca się do dziejowej odpowiedzialności, dąży do prawnej stabilizacji. Chce zostawić po sobie trwałe instytucje. Dlatego np. w Niemczech mówi się o zakończesiu rewolucji. Rewolucja w permanencji — to wciąż powiększający się chaos prawny i gospodarczy. Przejście do prawa nie jest rzeczą łatwą. Tem trudniej to przychodzi, im dłużej się je lekceważyło i łamało. I jeżeli obserwujemy gdziekolwiek przewlekłą dyktaturę, która nie może wybrnąć z zagadnień ustrojowych, która okazuje coraz większą zachłanność i coraz więcej usuwa instytucyj prawnych, nie tworząc nowych, to nie możemy wróżyć jej pomyślnego końca.

Bodajże w tych wypadkach niewłaściwie używa się określenia: „dyktatura". Dyktatura powstała w Rzymie, jako prawna instytucja o określonym zakresie działania i terminie. Starożytność klasyczna znała właściwy wyraz: „tyranja". Historja Grecji dostarcza nam bardzo wielu przykładów, jakie skutki zostawili po sobie zarówno źli jak i dobrzy tyrani, którzy nie uznawali prawa.

Nie możemy pogodzić się z ustrojem, który bierze za podstawę prawa jednostki, który żydowi przyznaje te same prawa, co Polakowi, odpowiedzialnemu za losy narodu i państwa. Ale to nie powód, by wracać do barbarzyństwa, które nie uznaje prawa i nie potrafi go stworzyć. Taki ustrój, — jeżeli to można nazwać ustrojem — byłby sprzeczny z potrzebami i tradycjami narodowemi, zwłaszcza naszego narodu.

ROMAN RYBARSKI

PAŃSTWO NARODOWE CZY DWUNARODOWE

(Dokończenie)

JAKŻE się możliwość aspirowania przez żydów do roli współgospodarza Polski przedstawia od strony liczebnej?

Polacy stanowią w Polsce około 65% ogółu ludności. Żydzi około 12%. To znaczy, że stosunek liczebny Polaków do żydów przedstawia się jak 5 : 1.

Porównajmy ten stosunek do stosunku rozmaitych składników ludnościowych w państwach dwu — i trójnarodowych.

W Belgji jest 43% Flamandów, 39% Walonów, 0,2% Niemców i 13% dwujęzycznych. To znaczy, że stosunek Flamandów do Walonów jest niemal, jak 1 : 1.

W Szwajcarji jest 71% Niemców, 20% Francuzów, 6% Włochów i 1% nie odgrywającego żadnej roli żywiołu Reto-Romańskiego. To znaczy, że stosunek Niemców, Francuzów i Włochów jest jak 5 : 1½ : ½.

W Finlandji jest 2.754.000 Finnów i 340.000 Szwedów. Stosunek jak 9 : 1.

W Kanadzie jest Anglików, Szkotów i Irlandczyków razem 55%, Francuzów 27,9%. Pozatem jest jeszcze około 15% Niemców, Holendrów, Skandynawów, Żydów i Słowian, którzy powiększają swoją obecnością wagę polityczną obozu anglosaskiego. Stosunek Anglosasów do Francuzów wynosi 2 : 1, zaś Anglosasów łącznie z cudzoziemcami do Francuzów — 2½ : 1.

(O Unji Południowo-Afrykańskiej nie mam danych pod ręką; stosunki tamtejsze przypominają zgrubsza stosunki belgijskie).

Tak więc niema podobieństwa między stosunkiem liczebnym Polaków i żydów w Polsce — a stosunkiem liczebnym Walonów i Flamandów w Belgji, oraz Anglosasów i Burów w Afryce Płdn.

Natomiast zachodzi podobieństwo między tym stosunkiem, a stosunkami liczebnemi narodowości w Kanadzie, Szwajcarji i Finlandji. Sytuacja liczebna Francuzów w Kanadzie jest dwa razy lepsza, niż żydów w Polsce, Francuzów w Szwajcarji półtora raza lepsza, Włochów w Szwajcarji i Szwedów w Finlandji dwa razy gorsza.

W istocie jednak siła polityczna żydów w Polsce jest większa, niżby to wynikało z ich siły liczebnej.

Po pierwsze — siłę tę pomnaża fakt istnienia wewnątrz obozu polskiego licznych sojuszników obozu żydowskiego.

Pierwsza kategorja tych sojuszników — to Polacy pochodzenia żydowskiego (żydzi wychrzczeni oraz potomkowie małżeństw mieszanych). Departament rasowy ministerstwa spraw wewnętrznych w hitlerowskich Niemczech obliczył, że jest w państwie niemieckiem około półtrzecia miljona żydów wyznań chrześcijańskich, oraz mieszańców niemiecko-żydowskich [1]). Jak wiadomo, żydów wyznania mojżeszowego jest w Niemczech około 600.000. Jeśliby stosunek liczebny mieszańców żydowskich do żydów miał być w Polsce ten sam, co w Niemczech, to przy 4 miljonach żydów w Polsce mielibyśmy tych mieszańców 16 miljonów. — Można przyjąć zgóry, że jest ich w istocie wielokrotnie mniej, gdyż zmieszanie żydów z ludnością rdzenną nie postąpiło w Polsce ani w części tak daleko, jak w Niemczech. Ale w każdym razie jest ich liczba znaczna, — zapewne gdzieś około drugich czterech miljonów. Biorąc pod uwagę wyjątkową odporność żydów na asymilację, oraz mimowolne, podświadome poczucie solidarności z rasą żydowską, jakie odzywa się u lwiej części osób z przymieszką krwi żydowskiej, nawet po upływie kilku lub więcej pokoleń — trzeba przyjąć, że cztery miljony żydów w Polsce mają w owych przypuszczalnych czterach miljonach mieszańców naturalnych sojuszników i obrońców.

Druga kategorja tych sojuszników — to Polacy, będący pod wpływem mentalności żydowskiej — lub też znajdujący się w organizacyjnej zależności od partyj i stowarzyszeń, programowo żydom przyjaznych. Nawet czystej krwi Polak, o ile jest masonem, socjalistą, komunistą, albo o ile jest pod urokiem „Wiadomości Literackich", poezji Tuwima, intelektu prof. Askenazego czy Handelsmanna, mądrości politycznej redaktora Florjana Sokołowa z „Gazety Polskiej" i tak dalej — nie może już być położony na szali, przeciwległej żydom. Jest on między Polakami a żydami czynnikiem conajmniej neutralnym. Ten liczny w społeczeństwie polskiem żywioł, który gotów jest nawet osobiście ręki do tego przyłożyć, by stanowisko żydów zostało — ze względów humanitarnych czy innych — w Polsce wzmocnione, nie doznaje żadnej kompensaty po przeciwnej stronie, gdyż niema ani jednego żyda, któryby w antagonizmie polsko-żydowskim skłaniał się sympatjami ku stronie polskiej.

Trzecią kategorję, do kategorji drugiej pod pewnemi względami zbliżoną, stanowią Polacy, zależni od żydów materjalnie, — znani pod wyrazistem, popularnem mianem *„szabesgojów"*. Odwrotnej kategorji: żydów, zależnych materjalnie od Polaków, prawie że niema; istnieją wprawdzie żydzi, zależni materjalnie od polskiego rządu, ale miałoby to znaczenie tylko wówczas, gdyby ten rząd chciał ze swej przewagi korzystać w duchu narodowym. Wątpliwe jest zresztą, czyby mu się to — wobec umiejętności żydowskiej stania na straży swego interesu narodowego nawet w warunkach najtrudniejszych — udało.

To też stosunek sił liczebnych 5 : 1 w rzeczywistości wymaga znacznej korektury; być może, że trzebaby coś dodać do jedynki, a już z pewnością trzebaby wiele odjąć od piątki.

Ale na tem nie koniec. Siła żydów w Polsce — to nie jest tylko ich siła liczebna. Waga polityczna sprawy żydowskiej w Polsce jest znacz-

[1]) Cytuję za Stojanowskim: „Rasizm przeciw Słowiańszczyźnie", stronica 122.

nie większa, niżby to wynikało ze stosunku liczebnego Polaków i żydów, nawet odpowiednio skorygowanego przez wzięcie w rachubę istnienia licznych żywiołów półżydowskich i żydofilskich po stronie polskiej.

Naprzód — trzeba wziąć w rachubę ten fakt, że żydzi mieszkają głównie w miastach, a główna masa ludności polskiej — na wsi. Wprawdzie ludność wiejska jest odporniejsza na kataklizmy i wogóle mocniej z krajem związana, aniżeli ludność miast. Ale tem nie mniej, we fluktuacjach życia politycznego, znaczenie miast jest większe, niż znaczenie wsi. Opanować władzę w państwie jest o wiele łatwiej w oparciu o ludność miast, niż o ludność wsi. Na przykładzie Rosji Sowieckiej widzimy, jak bezsilna i bezradna jest opozycja wsi, gdy miasta rząd mocno trzyma w garści. Z wyjątkiem Wielkopolski i Pomorza, wszystkie miasta w Polsce są w jednej czwartej, w jednej trzeciej, w połowie lub w trzech czwartych zamieszkane przez żydów. Również i lwia część ludności półżydowskiej, lub filożydowskiej skupia się w miastach.

Po wtóre — żydzi są od nas mocniejsi gospodarczo. Nie można wprawdzie znaczenia pieniądza w polityce przeceniać — ale niepodobna jest bądź co bądź zamykać na to oczu, że jednak on pewne znaczenie posiada. Względy gospodarcze ciężar gatunkowy sprawy żydowskiej w Polsce powiększają.

Po trzecie — w dzisiejszych stosunkach duży odłam ludności polskiej („endecy") zepchnięty jest w Polsce do roli parjasów. Stosunek liczebny Polaków do żydów jest wprawdzie 5 : 1, ale stosunek Polaków wyposażonych faktycznie (a nietylko formalnie) w prawa polityczne do takichże żydów przedstawia się dla żydów o wiele korzystniej.

Po czwarte — nasze siły polityczne są niemal ograniczone do tego, co posiadamy w Polsce. Żydzi — nie o wolno o tem zapominać — mają obfite zbiorniki energji politycznej również i poza Polską i mogą z nich wiele sił czerpać dla zasilenia swego życia w Polsce.

Po piąte — istnieje w Polsce języczek u wagi w postaci żywiołów niepolskich i nieżydowskich, to znaczy Rusinów, Białorusinów, Niemców i t. p. Jest tego około 23%. To znaczy, że stosunki narodowościowe w Polsce przedstawiają się właściwie jak 5 : 2 : 1. Istnieje możliwość, że te 23% będzie w sporze polsko-żydowskim po stronie polskiej, lub przynajmniej będzie neutralne, ale może także być i tak, jak w roku 1922 (wybory, — lista Nr. 16) gdy owe 23% szły pod żydowską komendą przeciw Polsce. Stosunek sił politycznych wyglądałby wówczas jak 5 : 3.

Po szóste — czynione są ze strony żydowskiej wysiłki, by prócz wpływów w całej Polsce zdobyć dla żydostwa bazę terytorjalną, gdzie byłoby ono panem wyłącznym. Tą bazą terytorjalną ma być Polesie, gdzie po przeprowadzeniu meljoracyj zjawi się wiele terenów kolonizacyjnych, które żydzi chcieliby zapełnić swoim elementem osadniczym. Gdyby Polesie — już dziś silnie zażydzone — stało się krajem o większości żydowskiej, pozycja żydów w Polsce byłaby już lepsza od pozycji np. Francuzów w Szwajcarji.

Summa summarum — stwierdzić trzeba, że Judeo — Polska jest rzeczą możliwą. Istnieją przykłady współrządów żywiołów o nie większej sile politycznej, — niema w tem nic niemożliwego, by i Polska, w sprzyjających dla żydów warunkach, zamieniła się na taki przykład.

Wyobraźmy sobie, coby było, gdyby np. w r. 1920 bolszewicy odnieśli nad Polską zwycięstwo!— Czrezwyczajki byłyby wystrzelały z parę miljonów polskiej narodowej elity. Władzę oddanoby Sowietom, złożonym z żydów. Na rogu ulicy zamiast polskiego policjanta, widzielibyśmy „czekistę", jakiegoś barczystego byłego tragarza, czy furmana z Nalewek. Polski rekrut służyłby wprawdzie w armji czerwonej jako szeregowiec, ale oficerem i — co ważniejsze — żandarmem byłby w tej armji żyd. Cała administracja znalazłaby się w ręku inteligencji żydowskiej. Rząd Rosji Sowieckiej nie potrzebowałby tworzyć republiki w Biro-Bidżanie, gdyż miałby ją w Polsce. Duże połacie Polski — z Polesiem na czele — skolonizowanoby żydami systemem rolnych „kołchozów". Być może, że ściągniętoby do tych, „kołchozów" miljony żydów z całego świata, aby zaś zrobić dla nich miejsce, przesiedlonoby część ludności polskiej na Syberję.

Wszystko to nie jest zgoła chimerą. Niebezpieczeństwo takie groziło Polsce zupełnie realnie. Oczywiście, nie byłaby to żadna Judeo-Polska, lecz czysta na ziemiach polskich Judea. To, że polscy tubylcy byliby w niej i nadal w większości, niczego nie znaczy. Kafrowie zawsze byli w większości w Transwaalu i w Oranje Vrijstaat, a jednak kraje te były ongiś narodowemi państwami burskiemi, a dziś są terenem zmagań bursko-angielskich.

Dzisiaj niebezpieczeństwo to już nam nie grozi. Konjunktura z roku 1920 już się nie powtórzy. Ale niebezpieczeństwo skromniejsze, niebezpieczeństwo Judeo-Polski, istnieje nadal, a nawet się stopniowo zwiększa. A Judeo-Polska — kto wie? — mogłaby być etapem do odżycia znowu, choć w innych okolicznościach, konjunktury dla polskiej Judei. Państwa dwunarodowe — to są zawsze tylko etapy (choćby miały trwać całe stulecia). Etapy na drodze bądź to do rozpadnięcia się państwa na części składowe, bądź też do zapanowania w całem państwie jednego elementu nad drugim. Przekształcenie się Polski — po tysiącu lat istnienia państwa czysto polskiego — na Judeo-Polskę mogłoby być wprawdzie z czasem przekreślone przez powrót do państwa narodowo-polskiego. Ale mogłoby też być etapem na drodze do czystej Judei. Nie łudźmy się, że ambitniejsze głowy śród żydów o tem i dzisiaj nie marzą. Gdyby się raz Polska zamieniła na Judeo-Polskę, z łatwością mógłby nastąpić uwiąd życia narodowo-polskiego. W zetknięciu i symbiozie narodu tysiącletniego z czterotysiącletnim naturalną przewagę miałby ten ostatni: skostniała wiekami indywidualność jego łatwiej oparłaby się zatarciu w zmieszaniu. Gdyby zjawiło się w Polsce owych 16 miljonów półżydów na wzór niemiecki — gdyby atmosfera „Wiadomości Literackich" stała się atmosferą w Polsce dominującą, — nie byłoby rzeczą możliwą utrzymanie się czystego życia narodowo-polskiego, tak jak się, w swej zupełnej czystości, utrzymują obok siebie życie niemieckie, francuskie i włoskie w Szwajcarji, francuskie i flamandzkie w Belgji, francuskie i angielskie w Kanadzie, angielskie i burskie w Południowej Afryce. Przekształcenie się Judeo-

Polski na jawną Judeję byłoby rzeczą o wiele łatwiejszą od przekształcenia Polski na Judeo-Polskę. W całej tej drodze ewolucji najtrudniejszy jest pierwszy etap.

A ten pierwszy etap bynajmniej nie jest dla żydów nieosiągalny. Toczy się w Polsce walka o hegemonję, — walka polskości z żydowszczyzną. W walce tej, w chwili obecnej, polskość bynajmniej nie odnosi sukcesów. A w walce najczęściej tak bywa, że kto nie idzie naprzód, kto przeciwnika skutecznie nie ubezwładnia — ten sam jest narażony na cofanie się i na ubezwładnienie w końcu przez przeciwnika. Każdy, kto umie patrzeć i uważnie się śród tego, co się w Polsce dzieje, rozgląda, musi stwierdzić, że istnieją czynniki i okoliczności, które pracują w kierunku przekształcenia Polski na Judeo-Polskę.

Po wyzwoleniu się z zaborów ościennych mocarstw grozi nam zabór o wiele od tamtych groźniejszy: zabór żydowski.

Czas się ocknąć!...

JĘDRZEJ GIERTYCH

Z DZIEJÓW NASZEJ PRZEMIANY SPOŁECZNEJ: IV

ERA PASKIEWICZOWSKA

DO CZASÓW PASKIEWICZOWSKICH przylgnęła u nas opinja, że jest to okres wyjątkowo bezbarwny i nieciekawy, — w którym się nic nie dzieje, bo kraj pogrążony w marazmie, a cały mózg jego wywędrował zagranicę.

Nie wydaje mi się ta opinja słuszną. Zresztą, myśląc tak, zapomina się o tem, że często takie ciche i bezbarwne historycznie okresy, są nader ważne dla rozwoju charakteru narodowego i nader barwne obyczajowo, — wystarczy powołać się na takie czasy saskie i ich wyjątkowe pod tym względem znaczenie. Coś podobnego jest i z erą paskiewiczowską, i te 30 lat niezmąconego spokoju, a nawet pewnej martwoty, znaczy bodaj więcej dla historji społecznej, niż poprzedzające je ruchliwe trzydziestolecie Księstwa i Królestwa, a już stanowczo wiele więcej, niż cała genjalna literatura i twórczość emigracji. Ta jakby powrotna fala czasów saskich wpłynęła decydująco na skrystalizowanie się charakteru narodowego i o tem zapominać nie wolno.

Gdyby bowiem nasza ewolucja społeczna zdążała stale w tym kierunku, jaki jej nadały czasy stanisławowskie, inaczejby dzisiaj Polska wyglądała, ale w tej ewolucji nastąpiła z rokiem 1831 trzydziestoletnia przerwa, a ta przerwa, bo czasu „i w sto koni nie dogoni", zadecydowała o naszym charakterze narodowym i naszym ustroju społecznym. Chodzi tu o to, że od roku 1764 cały ruch naszej przemiany społecznej konsekwentnie zmierzał do tego, żebyśmy przestali być narodem szlacheckim, aby w życiu naszem wieś ustąpiła miejsca miastu, i gdyby okres paskiewiczowski poprowadził dalej tę ewolucję, takby się niewątpliwie stało. Znaczenie więc bezmierne ery paskiewiczowskiej polega na tem, że na przestrzeni całego XIX wieku był to jedyny okres czasu, który wzmacniał pozycję szlachty, zamiast ją osłabiać; a choć nie mogła ona już odzyskać dawnego stanowiska, to jednak te 30 lat zrobiło dla niej tyle, że wieś nie ustąpiła miejsca miastu, niemal aż po dziś dzień, i kultura nasza po staremu została szlachecko-ziemiańską. Co ważniejsze zaś, nie była to ewolucja sztuczna, co najwyżej o tyle sztuczna, o ile sztucznem i niepotrzebnem było powstanie listopadowe, które stworzyło dla niej warunki. To też, gdy, głębiej rzeczy biorąc, ta pewna archaizacja struktury socjalnej wyszła nam raczej na niekorzyść, to ta wina jest jeszcze jednym minusem, który obciąża, coraz gorsze w opinji narodowej, konto lekkomyślnego powstania.

Powstanie bowiem, jak każda wojna, wywołało zastój gospodarczy, ale o ile za czasów ponapoleońskich złe siły ekonomiczne działały przeciwko wsi i rujnowały obywatelstwo ziemskie, to teraz ofiarą konjunktury padły miasta i przemysł, pozbawione opieki własnego rządu. O polski przemysł rząd rosyjski nie dbał wcale, a bez pomocy i opieki, przy wysoce niesprzyjających warunkach, nie mógł on się oczywiście utrzymać, i fala bankructw zniszczyła bardzo wiele z tego, co z takim wysiłkiem dźwignęły czasy stanisławowskie i energja Lubeckiego.

Natomiast wieś, która przezwyciężyła kryzys jeszcze za czasów Królestwa, teraz może nie weszła wprawdzie w jakiś złoty okres, ale w każdym razie położenie jej raczej się poprawiło, — a co za tem idzie szale ekonomiczne zmieniły całkiem swoje położenie: szala szlachty podniosła się w górę, a inteligencji i stanu trzeciego gwałtownie zjechała w dół. Zmienił się więc i stosunek wzajemny obu warstw, a ponieważ, przy ogromnem i prastarem znaczeniu szlachty, wszelki wzrost bogactw miasta był wciąż jeszcze tylko wywalczaniem sobie stanowiska, więc teraz wróciło niemal — dawne, niewidziane od czasów saskich jedynowładztwo szlacheckie i to bodaj że wyraźniejsze niż wtedy. Czasy saskie były bowiem nietyle złotym wiekiem szlachty, ile złotym wiekiem magnatów. Teraz zaś naprawdę rządzi szlachta, i ona jest rzeczywistą duszą narodu; żadnych magnatów już nie ma, a powstała z magnaterji arystokracja ma o wiele słabsze stanowisko i moralne i ekonomiczne.

Wpłynęło tutaj to, że początek wieku XIX był w dziedzinie ustroju własności rolnej okresem bezustannego likwidowania latyfundjów. Zaczął się ten ruch jeszcze za Stanisława Augusta rozdrapaniem ordynacji Ostrogskiej, a nie ustał i później. Królestwo ujrzało drugą podobną sprawę — rozbicie ordynacji pińczowskiej; podzielono także, jeszcze przedtem, wszystkie starostwa i inne dobre państwa, a także ogromną większość dóbr duchownych, zajmujących pokaźne obszary. Była to swoista parcelacja, na razie tylko między braci szlachtę; bajeczne konglomeraty kilkuset wsi poznikały nawet na kresach. Na miejsce kilku, czy kilkunastu panów wyrósł cały szereg ziemian. Przewa-

żały niby jeszcze dobra, mające po parę folwarków, ale i tu idzie ewolucja w kierunku ich rozbicia i zwolna regułą staje się majątek jednofolwarczny, a zato o wiekszym obszarze ziemi dworskiej, bo folwark rośnie kosztem chłopów.

Na tym rozroście dworów i dworków kosztem zamków i pałaców polskość ogromnie zyskała, bo rozrost drobnego i średniego ziemiaństwa był dla sprawy narodowej oczywistą korzyścią, zwłaszcza gdy chodzi o kresy, gdzie ta ewolucja wątły nalot polskości znakomicie umocniła. Ale i gdzieindziej miało to dodatnie znaczenie jako wzmocnienie elementu kulturalnego, świadomego politycznie i patrjotyczniejszego naogół od oportunistycznie nastrojonej arystokracji. Wreszcie i ekonomicznie zyskał na tem kraj. Stracił gospodarczo niewątpliwie chłop, co ważne i groźne, bo on w wielkich dobrach miał się znacznie lepiej.

A nie trzeba już chyba mówić, jak walnie na obyczaju polskim ten rozrost ziemiańskiej szlachty zaważył. Dzięki tej supremacji dworku nastąpił powrót czasów saskich, w ich jaknajlepszej osnowie. Wrócił dawny sarmatyzm, ale wyszlachetniony i wysubtelniony; zanikł „rubaszny czerep", ale została mu jego tężyzna, został wartościowy podkład ideowy wiary i tradycji i cały barwny wdzięk tej epoki, bez jej prywaty i wstrętnego sobkostwa. Przeciwnie — czasy te mają wysoki klimat moralny i młodzież wtedy wychowana złożyła egzaltowaną a niepotrzebną ofiarę krwi w 63-im. Literatura nasza odbija dobrze ten zwrot w społeczeństwie i pełna jest sarmackich reminiscencyj — tworzą swoje gawędy Pol i Rzewuski, wieś polską ilustruje Kossak, a nawet na emigracji powstaje największa idealizacja dawnego, polskiego życia: nieśmiertelny „Pan Tadeusz".

Znaczenie szlachty w owych czasach podniosło jeszcze i to, że zorganizowano ją z powrotem w jednolity stan, co choć nie miało wielkich prawnych konsekwencyj, wzmogło jednak znacznie jej samopoczucie, umacniając osłabłą świadomość odrębności stanowej. Zresztą prawo o szlachectwie z 1836 roku zasługuje i z wielu innych względów na baczną uwagę i jest w naszych dziejach społecznych datą ze wszech miar ważną, choć całkowicie zapomnianą.

Rozstrzyga ono dwie zasadnicze kwestje: kto jest szlachcicem, i jak nabyć szlachectwo. Rozstrzygnięcie pierwszej jest ciekawe jako ukoronowanie pewnej długotrwałej ewolucji, — rozstrzygnięcie drugiej nierównie ważniejsze.

Co do pierwszej wystarczy powiedzieć tyle, że niezależnie od ogromnego napływu nowej szlachty, wyposażonej w legalne dyplomy, prawo z 1836 r. dawało, dzięki elastyczności swoich przepisów, możność wywiedzenia się ze szlachectwa i licznym, nieszlacheckim rodzinom, przez co skład osobowy szlachty walnie się zmienił. Analizując bowiem, punkt za punktom, artykuł 17, mówiący o dowodach posiadanego szlachectwa, można stwierdzić, że prawie żaden z podanych dowodów nie wykluczał możliwości wywiedzenia się „fuksem". Weźmy naprzykład — takie posiadanie dóbr ziemskich na własność przed rokiem 1775, bo tę datę, ze względu na udzielone później prawo kupowania dóbr ziemskich mieszczanom, wybrano; nie utrudniało ono wcale licznym frankistom wywodu. Formalne szlachectwo miało tylko 51 rodzin frankistowskich, reszta legitymowała się właśnie posiadaniem dóbr. Bo choć sejm z 1764 kazał im te dobra sprzedać w przeciągu dwóch lat — to cały szereg ich tego nie dokonał (siła protekcji i pieniądza zawsze była wielka), a choćby i dokonał, to dobra przez parę lat miał, i aktem ich kupna lub sprzedaży mógł się legitymować. Podobnie było i z innemi wymogami, i, naogół biorąc, przez sieć tego prawa łatwo można się było przecisnąć, zwłaszcza że heroldja trudną w wywodach nie była.

Bez porównia ważniejsza jest sprawa druga— nabywanie szlachectwa, bo wywód bądź co bądź dotyczył przeszłości, i chociaż zdarzało się, że był także i nadawaniem szlachectwa, pod pozorem jego dawności, to jednak zwykle dotyczyło to osób, które uchodziły za szlachtę, lub za nią, nawet prawnie, mogły uchodzić, — trudno sobie pomyśleć jakiś wypadek grubszego, niepopartego niczem absolutnie oszustwa. Tak naprzykład historja Frankistów, która tu znowu wypłynęła, jest historją starą, i ostatecznie jej istotny sens rozegrał się w drugiej połowie XVIII wieku, a teraz co najwyżej zaszedł drobny, nieznaczny epilog, stwierdzajacy wyraźnie to, co zaszło pierwej.

Wręcz inaczej jest ze sprawą nabywania szlachectwa; ona miała znaczenie istotne, i podobnie jak kodeks napoleoński swoim obcym duchem urabiał stosunki krajowe, tak samo i prawo o szlachectwie te stosunki urabiało. A nie było ono polskie z ducha —, choć do pomysłów polskich z XVIII wieku zbliżało się swoją ideją upowszechnienia szlachectwa, ale to upowszechnianie rozumiało nieco inaczej, w duchu rosyjskiego „dworjaństwa", i na jego modłę chciało szlachtę przekształcić. Stworzono tu bardzo ważny przepis, mianowicie artykuł 4, orzekający, że każdy urzędnik państwowy VI kategorji ma prawo do dziedzicznego szlachectwa. A więc, gdy polskie demokratyzowanie herbów zmierzało do tego, żeby je upowszechnić w sferach burżuazji mieszczańskiej i by w ten sposób podwyższyć społecznie handel, — prawo rosyjskie zamierzało podnieść społecznie tylko godność państwa, urząd państwowy, — a skoro ten urząd był w owym czasie jeszcze polski, bo cała administracja została z czasów napoleońskich nietknięta, więc znaczenie tego przepisu było olbrzymie.

Szlachectwo i urząd połączono odtąd stale; urzędnik stał się człowiekiem z lepszej gliny, a wydźwignięty nieco przez czasy stanisławowskie, Księstwo i Królestwo, handel znowu ogromnie opadł w hierarchji zawodów. A że ten przepis trafił na grunt podatny i znalazł walną podporę w nawykach szlachty i jej przesądach, a także w tem, że w tych czasach rzeczywiście większość urzedników była szlacheckiego pochodzenia — więc wrósł w duszę narodu i wykoleił zapoczątkowaną z rokiem 1764 dążność do podniesienia miast. Miasta i handel pozostały po staremu czemś gorszem, niemal niepolskiem, a cała urzędnicza inteligencja, dotychczas nie unikająca mieszczaństwa, odcięła się od inteligencji kupieckiej, i jednocząc się z ziemiaństwem przekształciła na *gentry*, myślącą i czującą jak ono; gdy zaś późniejsza katastrofa rzuciła znowu, jak po roku 1795, na bruk wiele szlachty, a ta wsiąkła w *gentry*, zaczęta wtedy ewolucja była tem samem przesądzona: W naszem życiu narodowem miast jeszcze raz zabrakło, były tylko dwie szlachty — wiejska i miejska.

KAROL STEFAN FRYCZ

MICKIEWICZ A MORD RYTUALNY

(Dokończenie)

ALE WRÓĆMY jeszcze do „Pana Tadeusza". Jakże tam przedstawia Mickiewicz stosunek żydów do sprawy polskiej? Ano, tak samo jak w „Panu Naczelniku" i w „Księgach Pielgrzymstwa". Przedstawia ich jako Judaszów i szpiegów, których się pilnie wystrzegali wszyscy polscy patrjoci, wszyscy zwolennicy walki z najeźdźcą, wszyscy ludzie myślący o powstaniu. Oto co czytamy w epilogu ks. I, w owym zarysie sytuacji politycznej r. 1811.:

„Nieraz dziad żebrzący chleba,
Bez ręki lub bez nogi, przyjąwszy jałmużnę,
Stanął i oczy wkoło obracał ostróżne.
Gdy nie widział we dworze rosyjskich żołnierzy,
Ani jarmułek, ani czerwonych kołnierzy,
Wtenczas, kim był, wyznawał: był legijonistą,
Przynosił stare kości na ziemię ojczystą,
Której już bronić nie mógł"...

Skoro w każdym żydzie widziano szpiega i donosiciela, nic też dziwnego, że Gerwazy czuł się zmuszony wyrzucić Jankiela za drzwi, gdy się toczyły nasady szlachty nad udziałem w powstaniu:

„Precz stąd, żydzie!
Nie tkaj palców między drzwi! Nie o ciebie idzie!"

Jankiel podobno potrafił być działaczem... na dwie strony. Czyni do tego aluzję sam Mickiewicz (Ks. IX., 72 — 75).

„Kto z wiosek batalijon Moskalów sprowadził?... Asesor-li czy Jankiel? Różnie słychać o tem..."

Istotnie różnie. Asesor i Jankiel bowiem są dość podobni w działaniu, choćby w tem, że gdy „nasi zwyciężają" (w danym wypadku Napoleona), obaj naraz deklarują się jako wierni słudzy zwycięzcy. Jakie były ich przekonania polityczne w r. 1813, tego już nie wiemy. Warto nadmienić, że Asesor ma w swym wyglądzie (rude faworyty) i usposobieniu („szmoncesowate" dowcipy, wyrachowanie etc) pewne cechy, które nasuwają przypuszczenie, czy aby on nie pochodzi od „naszych". W każdym razie, gdy chodzi o Jankiela, to ów rozsławiony jego patrjotyzm polski, z którym żydzi tak lubią wyjeżdżać, jako z „argumentem" (!), jest mocno problematyczny. To, że grał Jankiel na cymbałach „wieniec pieśni polskich", toż jeszcze nic szczególnego. Podobne rzeczy wyczyniali po kawiarniach Węgrzy podczas wojny światowej, fetując legjonistów, a nikt chyba Węgra za polskiego patrjotę uważać nie będzie. Jeden żyd w 1812 r. umiał grać na cymbałach „Jeszcze Polska nie zginęła"... Wiemy z „Bartka zwycięzcy", że huczniej jeszcze grać kazał „Jeszcze Polska" — całej orkiestrze wojskowej — pruski generał w r. 1870, generał, którego nikt chyba nietylko za polskiego patrjotę, ale i za przyjaciela Polaków nie będzie uważał. Bywają i cymbały kosmopolityczne, które gotowe są grać każdą nutę, jaką im grać każą. Boć słusznie mówi o cymbałach święty Paweł: „Choćbym „gadał jak wszyskie narody, a miłościbym nie miał, byłbym jako miedź brząkająca i jako cymbał brzmiący".

Tyle o cymbałowatym patrjotyźmie żydowskim. Więcej się nie da powiedzieć na korzyść Izraela w „Panu Tadeuszu". Jankiel tylko „miał sławę dobrego Polaka", ale czy nim był? „Różnie słychać o tem". Może to właśnie jego syna w r. 1831 powiesił pan Naczelnik nad trockiem jeziorem, po kowgańskiej potyczce? Jeżeli nie, to któregoś z jego ziomków i kolegów po fachu.

Zresztą uwierzmy już nawet, że Jankiel jest dobrym patrjotą polskim. Wyjątek tylko potwierdza regułę odwrotną... Ale trzeba i to wziąć pod uwagę, że Mickiewicz w ostatnich dwóch księgach „Pana Tadeusza" jest nastrojony tak świetlanie i optymistycznie, iż gotów wszystkim wszystko przebaczyć, tak jak pan Naczelnik na wieść o zwycięstwie nad Rosenem i Gajsmarem przebaczył trzeciemu szpiegowi, Francuzowi... A że w „całej ozdobie" widział kraj ojczysty, więc nawet żyda wyidealizował — choć z zastrzeżeniami. Sympatycznie nakreślił przecie i Moskala, a trzeba przyznać, że „człowiek — dusza" Ryków jest o wiele sympatyczniejszą postacią niż Jankiel — ot tak sympatyczną, iż poprostu chciałoby się i z nim wypić toast „Kochajmy się". Na podobną zaś konfidencję z Jankielem nie pozwoliłby... „tref i koszer"...

Obrazem złocistego zachodu zakończył Mickiewicz „Pana Tadeusza". I sam „Pan Tadeusz", był dla poety takim złocistym zachodem... W jednym z nielicznych wierszy, jakie w ciągu dwudziestu lat następnych Mickiewicz napisał, nazwał swój wiek męski — wiekiem klęski... Klęska to była wielokrotna, zarówno dla człowieka, jak i poety... A pierwszemi etapami tej klęski były dwa fakty, które złamały Mickiewicza jako poetę, a mianowicie ożenek z Celiną Szymanowską i przyłączenie się do Koła Towiańczyków. Dwa fakty, w których wielki poeta, rządzący się zawsze sercem, a nie interesem, dał się wyzyskać, do niezawsze jasnych celów, ludziom, pragnącym korzystać z firmy jego nazwiska. Wciągnięty w mętne, z judaizmu poczęte kabały towianistyczne zatracił bystrość sądu, kluczył po wertepach, zamiast iść prostą drogą, wytkniętą w płomiennych „Dziadach" i wspaniałym „Panu Tadeuszu". Trzeba dopiero silnego wstrząsu, wiosny ludów w r. 1848, by wyrwać Tytana z tych sideł, jakiemi go skuły — świadomie czy podświadomie — osoby i pomysły, z pod berła mikołajowskiego na ziemie francuską przywleczone. Mickiewicz-towiańczyk nie był już despotom tak niebezpieczny, jak autor „Wallenroda", „Dziadów", „Ksiąg Pielgrzymstwa" i „Pana Tadeusza".

Rosyjscy carscy szpiegowie, nie spuszczający go z oczu od chwili wyjazdu z Rosji, mieli parę lat odpoczynku. Ale później spostrzegli, że Mickiewicz odzyskał dawną orłową bystrość wzroku i swój czysto-polski, słowiański sposób myślenia. Od tej chwili wydawał się im znów niebezpieczny... Zbyt niebezpieczny.

FEL. LACH

ZE STUDJÓW NAD NORWIDEM: XIII

WIDMO POETYCKIE RUINY

WYDANIE zupełne pism Cyprjana Norwida, dokonane przez Tadeusza Piniego, stanie się niewątpliwie momentem przełomowym w życiu pośmiertnem tego poety. Ekshumowany kawałkami od lat trzydziestu, budził niepokój swoją niesamowitością. Miriam (Przesmycki), jak Guślarz Mickiewicza, wywoływał fantastyczne widmo, a rzesza czekała: „Co to będzie, co to będzie". Wreszcie już jest. Ubrany w szaty normalnego poety, staje na półce między „klasykami". Może czegoś jeszcze brak, ale nie damy w siebie wmówić, że brak głowy lub nóg: jest cały Norwid i można już oglądać go spokojnie, w normalnych warunkach światła dziennego.

W ostatnich latach pisałem o Norwidzie w tem miejscu kilkakrotnie[1]). Nie poddając się suggestjom guślarzy i mody, pragnąłem dotknąć ręką zjawiska i dojść prawdy, jak wygląda realnie człowiek twórczy, noszący miano Norwid. Ale — przyznaję się — zamilkłem pod naciskiem wyznawców poety, którzy uznali moją śmiałość za świętokradczą. Zniechęciłem się i pracy poniechałem, co jednak nie znaczy, abym zmienił pogląd na potrzebę realnego spojrzenia. Nie mam już warunków odpowiednich na prowadzenie szczegółowych studjów, na które Norwid istotnie zasługuje. Niech to robią młodsi, ale wolni już od guseł obrzędowej polonistyki. Z okazji jednak pojawienia się całego Norwida pozwolę sobie na parę spostrzeżeń w sposobie choćby pogadanki.

Oto motyw ruin.

1. Po przypatrzeniu się całości pism Norwida trudno się opędzić wrażeniu, że się ma przed sobą widok pięknych ruin. To nie jest żywa dla żywych siedziba ludzka, w którejby potomność zamieszkać mogła, jak w budowlach wielkiej architektury Mickiewicza. Mamy przed sobą malowniczy i niezwykle interesujący pomnik tajemniczej przeszłości. Powiedzieć mógłbym jak Norwid na widok ruin Palmiry:

> „Patrzyłem i wydziwić się nie mogłem onej
> Całości rzeczy, w całość ruiny zmienionej"[2]).

Tadmur! — wołał on, a my mówimy zdziwieni: Norwid! A przecież przeszłość norwidowa nie tak dawna; nie czas zamienił ją w ruinę, jak się to pierwotnie badaczom wydało: ona od początku była już ruiną. Dzieła te były już ruiną w łonie ich twórcy. To jest moja teza.

Krytycy, którzy z religijnem niemal wzruszeniem oglądają Norwida, bojąc się dotknąć go, jako czegoś realnego, bo i „ruinę nawet popsuć można", nie robią dziejom literatury przysługi. Właśnie w takim wypadku tem większa jest potrzeba zająć się osobą twórcy, aby coś wytłumaczyć.

Prawda, i nad Polską, z pewnem opóźnieniem, przeszedł rewelacyjny, nawet rewolucyjny prąd metafizyki niemieckiej; ale naogół myśl polska wytrzymała ten nacisk. Mojem zdaniem, nie uratował się Norwid, a przyczyną było to przedewszystkiem, co tkwiło jako wada organiczna w nim samym, i co sprawiało, że był tak wielkim czcicielem ruin. Do tytułu „poety ruin" on ma niewątpliwie więcej praw, niż Krasiński.

Jak to się działo, że Norwid mógł jednocześnie być poetą ruin i wkładać tyle entuzjazmu w promethidjonową teorję przebudowy świata według ówczesnych haseł Fichtego i Schellinga?

2. Przedewszystkiem ustalić sobie trzeba, czego mamy szukać w Norwidzie: filozofji, czy poezji. Są bowiem krytycy, którzy pisma tego poety traktują jak ewangelję i usiłują wysnuć z jego obrazów ideowych system filozoficzny. Kto ciekaw filozofji z owych czasów, ten ma prostszy sposób poznania jej przez czytanie Trentowskiego, Libelta, Cieszkowskiego; pocóż ją odcyfrowywać z obrazów myślowych poety? Zresztą żadnego systemu z Norwida nie da się ułożyć, choćby dlatego, że niema u niego takiego twierdzenia, dla którego nie znaleźlibyśmy obok zaprzeczenia. I potem właśnie się poznaje, że mamy do czynienia z artystą. Nie może nie filozofować, ale coraz świat ukazuje mu się z innej strony. I właśnie zadaniem krytyka jest dojść do poznania tej złożonej budowy umysłowej.

Są krytycy, którzy przysięgają, że Norwid miał pogląd na świat czysto katolicki, a nietrudno wskazać, że tak zawsze nie było i że poeta łączy eklektycznie swoją religijność z manjerą patrzenia przez pryzmat metafizyki idealistycznej. Można się spierać, czy Norwid był romantykiem. I był nim i nie był: na obie strony są dowody. Ktoś powie: był nacjonalistą, a inny powie: kosmopolita. Obaj będą mieli rację. Arystokrata, czy demokrata? Tradycjonalista, czy „arrywista" amerykański? „Bohema", czy ascetyzm? I tak dalej w głąb osobistości. Dobrotliwy czy złośliwy szyderca? Silny charakter — czy słaby? Trzeźwy — czy fantasta? Cokolwiek kto odpowie, każdy będzie miał swoją rację. W każdym niemal punkcie Norwid był podwójny, a jednak zawsze był wierny sobie. Kto chce poetę zrozumieć, musi wkroczyć z badaniem nietylko do środowiska, jak radził Goethe, ale w niego samego. Przypomnijmy sobie, jak trudno było współczesnym, patrzącym na Norwida zbliska, zdać sobie z niego sprawę. Przenikliwa i mądra Żmichowska pisała o młodzieńcu:

> „...chwiała się giętka i powiewna trzcina. Przezwaliśmy go mistykiem, bo w tym roku właśnie uwierzył w duchy, cuda i magnetyzm. Poprzedniej zimy był zapalonym heglistą; na przyszłą wiosnę mógł bardzo rozsądnym człowiekiem się zrobić". („Poganka").

Przyczyną tego zjawiska była nie tyle miękkość i wrażliwość natury, ile nieustalona równowaga wewnętrzna. Współcześni nie mogli jeszcze wtedy dociec (i nad tem się nie zastanawiali) przyczyny tej chwiejności. My zaś tę przyczynę wskazać już możemy i jesteśmy obowiązani.

3. Sięgając najgłębiej, bo do krwi Norwida, skierować muszę uwagę, choćby na chwilę, na normandzkie pochodzenie jego przodków. Nie ocze-

[1]) Ob. „Myśl Narodowa" 1931 r. nr. 22, 23, 24; 1932 r. nr. 48, 49, 53; 1933 r. nr. 1, 5, 23, 29, 42, 43, 44 i 45.
[2]) „Rzecz o wolności słowa" — Zakończenie.

kuję tutaj jasnej odpowiedzi, bo nie mam w oczach typu normandzkiego z owych czasów, kiedy jego odprysk znalazł się między mazurami. Wystarczy dla naszych celów wiedzieć, że istnieje w tej krwi domieszka obca i to — podobno — trwała w swej odrębności. Wskazówka, jaką daje wgląd w tę stronę, nie jest bez znaczenia. Zdarzyło mi się parę razy według niej orjentować i uważam ją za ważną. Więcej może żartobliwie, niż na serjo wytknąłem Iłłakowiczównie ślady krwi tatarskiej. Poetka nie obraziła się ani za siebie, ani za kulturę polską. Mojem zdaniem, trzeba gdzieś szukać śladów bezspornego przecież faktu, że w Polaków wsiąkło wiele obcej krwi. Taki ślad daje jednostkom do głębi się wypowiadającym, piętno oryginalności. Wielką natomiast obrazą staje się dla jednostek i grup politycznych, gdy w poecie, piszącym po polsku, wykaże się krew semicką. Nawymyślano mi (i to w prasie polskiej) od „czarnosecińców", „pogromszczyków" i t. p. (aż się zląkłem, żeby mnie do obozu izolacyjnego nie zesłano) za to, że wykazałem czarno na białem, iż psychika Tuwima nie ma z polską nic wspólnego. To jest przykład, co warte są nasze badania krytyczne, skoro tak ważna rzecz, jak brak psychiki polskiej w poezji, uważanej za polską, nie jest spostrzegana. Wiem, że nikt z krytyków w moje ślady nie pójdzie, ale trzeba się spytać: jest nauka literatury na serjo, czy też istnieje tylko „serjo fałszywe", jak określa Norwid takie sytuacje w „Rzeczy o wolności słowa".

Jeżeli wpływy psychiki niemieckiej, dobrze naogół asymilującej się z polską, dostrzegamy u ludzi, zajmujących się handlem i przemysłem, dlaczego nie miałoby tych śladów być w wyrobach psychiki, w literaturze. One są, rzucają się one w oczy z poezji np. Leopolda Staffa. Wywołało to jednak zgorszenie, gdym — zestawiając go z Kasprowiczem — wskazał zasadniczą cechę jego melancholijnego poglądu na świat — dedukcyjność. Spojrzenie Staffa idzie od wyobrażeń ogólnych do konkretu, który dopiero od idei zapala się poetycko; Kasprowicz postępuje od konkretu, palącego się zmysłowo, do uogólnień ideowych. To właśnie czyni Staffa bliższym Norwidowi, niżby się to napozór zdawało.

4. Gdy mowa o dziedziczeniu, to oczywiście narzuca się bardziej indywidualna sprawa puścizny po ojcu. Mamy o nim pewne wiadomości biograficzne, które już podawałem, uzupełnione niedawno zrobionem odkryciem w pamiętnikach Ewy Felińskiej. Ojciec Jan, pokazuje się, miał wiele właściwości wspólnych z synem, mianowicie łatwość i talent bycia towarzyskiego.

W owe czasy gra towarzyska miała w sobie zarody wielu kunsztów: tańca, muzyki, śpiewu, deklamacji, maski, udanego gestu i pozy, koturny i dzwonki trefnisia. Tam też była improwizacja poetycka, sztuka bawienia zagadką i szaradą. Celował w tej sztuce Jan Norwid. Był poetą w zakresie bezpośredniego obcowania towarzyskiego. Ten rodzaj sztuki czyni stosunek do świata podwójnym, a stając się nałogiem, rozdwaja człowieka, że w końcu nie wie, co jest realnością, co zaś grą; stosunek człowieka do życia staje się nieprawdziwy, dwuznaczny, ratujący się grą pozorów, lub poprostu zagłuszaniem przytomności narkotykami.

Ojciec Norwida, jak ze wszystkiego wnosić można, był degeneratem. Dobrze życie zaczynał, stopniowo poziom obniżał. Była to stopniowa dekadencja. Kto zna z relacji Ewy Felińskiej dzieje jego małżeństw, wreszcie przyjrzy się datom jego ślubu ze Zdzieborską i urodzin pierwszego syna (Ludwika), ten odczuje, że było to życie nieporządne i nie dziwi się, że Cyprjan nigdy ani wspomniał o ojcu, który wkońcu porzucił rodzinę.

Cyprjan wiele robił dla swej postawy etycznej, lecz degeneracja, obciążająca go po ojcu, była poza jego wolą. Nie zrozumiemy dramatu Norwidowej twórczości, jeśli w nim upatrywać będziemy, według legendy, postać renesansową. Był to schyłkowiec, obciążony dziedzictwem nałogów, nadrabiający intelektem braki organiczne, przyprawiające jaźń na każdym niemal kroku od młodych lat o rozdwojenie i w życiu i w twórczości.

Tu tkwił korzeniem dramat jego życia osobistego. Wszystkie wywody krytyki, przenoszące winę dramatu na otoczenie, na to, że współcześni knuli przeciw niemu spiski, na schyłkowość epoki, która się nie poznała na Norwidzie, nawet na warunki materjalne, — wszystko to musi ulec rewizji. Norwid nosił w sobie ten dramat dekadencji fizycznej. Tem się tłumaczą osobliwości jego charakteru i jego tworów artystycznych. Tu tkwi przyczyna jego niepowodzeń życiowych i smutnego losu jego dzieł, że z żywymi i zdrowymi naprzód nie mógł iść, że na to, aby ocenionym być w swych niepospolitych wartościach, czekać musiał na epokę schyłkową w literaturze.

5. Norwid był już starcem w młodości. Wiemy z jego własnych wyznań w listach (i z liryk), że już w roku 1848 — 1850 zaczął tracić słuch; w tym czasie był moment, że i wzrok tracił i mowę. To, co tworzył odtąd, tchnie starością. Zasługuje na uwagę charakterystyka tej postaci, dokonana przez Hodiego (pseudonim Józefa Tokarzewicza[3]). O człowieku, który wtedy przekroczył lat 50 zaledwie, notuje, że „często spoziera w stronę cmentarza".

Jak wyglądał? „Twarz jego wielka, niezupełnie dopasowana do kruchego i szczupłego kadłubka, skostniała naraz, znów się ożywiła, nerwy jej wywinęły gatunek młynka, złożonego z sarkazmu i litości, zacisnęły się usta skrzywione przed chwilą, jakby do uśmiechu, żywcem wyjętego z przeddziejowej sagi"... „Ruina to już była w r. 1875". „Stopiwszy całego pana Cyprjana z jego płóciennym surducikiem w lecie i w zimie, z jego rajtuzami, pamiętającemi podróż naokoło świata w towarzystwie jakiejś lordówny (!), z poezjami nawet jego, których nikt do trzeciej stronicy doczytać się nie mogł, odkryłoby się najpewniej parę zuzelków metalu, godnych unieśmiertelnić imię nowego jakiego chemika wynalazcy"...

Hodi był dobrym obserwatorem, pisał powieści, zajmował się filozofją, znał się na ludziach. Warto też przytoczyć dalszy ustęp:

„Nie był to dyletant, tem mniej wizjonarjusz, mistyk lub fiksat. Francuzi, z którymi przestawał, podziwiali jego barwną fantazję i bogatą wiedzę; najzawołańsi słynni umysłowi idjoci, oni również wybornie zawsze pojmowali, o czem p. Cyprjan mówił, choć nigdy nie mogli powtórzyć, co chciał powiedzieć. W każdej rzeczy wyszperać on umiał przedewszystkiem taki jej do innych stosunek, który ją czynił do tyla oryginalną, iż prawie obcą i nie tą samą z dobrze znanej się stawała. Wiercił się mózg jego i za siebie zachodził jako granat w żwirze, kiedy niewiadomo, czy pęknie, czy się ostatecznie zatka i zgaśnie. Co go stoczyło? Co go postarzało, kiedy iśćby, zdawało się, powinien był przed siebie,

[3]) „Kraj", Petersburg 1884, nr. 7. („Z przeżytych dni").

prosto i mocno, jako zwycięski duch trudu? — Kto odgadnie.

Dość podobno przed laty zamożny, majętność swą stracił Norwid na zwiedzenie świata, na podróże. Z duszą swą nosił się pomiędzy ludźmi jak z numizmatem rzadkim, nikomu nieznanym, nikomu niepotrzebnym, do niczego nieprzydatnym. Wzrostu mniej niż średniego, suchy lecz kształtny, rozumnie patrzący lśniącą z pod chmur źrenicą człowieka północy, rozkochany w słońcu, miał on w obejściu się gładkość i swobodę bywalca, a w słowach i myślach szorstkość rudy, trawionej ogniem wewnętrznym. Robił wrażenie cegiełki ocalałej z cudownego gmachu, który gdzieś kiedyś spłonął do szczętu. Opowiadała ona o rzeczach bez wątpienia niesłychanych. Niestety zanadto plugawie wyglądałyby przy niej cegły naszego wieku, tysiącami wystawiane i wystawiające się na sprzedaż powszednią, aby dla kogokolwiekbądź ceramika ta norwidowska cenę mieć mogła. Zdziczał w końcu, pozwolił na sobie osiąść okwasowi rozczarowania i zwątpienia"...

6. Tylko parę słów dodam, jak się to wszystko wiąże i składa, że człowiek tego typu nie może uzgodnić się z życiem. To, co pisała o Norwidzie Żmichowska na początku jego karjery, a co potem stwierdzał Lenartowicz, wreszcie Tokarzewicz, jest zgodne: Norwid był podwójny, nie był jednolity. Był „pyszny", ale jednocześnie „dobry jak anioł". Ale to pęknięcie szło przez całą jego istotę, a było tem głębsze, że pracowała nad jego pogłębieniem ostra świadomość, upatrująca we wszystkiem grę dwu światów. Wytwarzały się na tle tego braku równowagi i zmienności osobliwe kompleksy psychiczne, przechodzące w życiu w manjactwo, w sztuce — w manjerę.

Stąd manja wielkości, płynąca z poczucia wyższości i wyjątkowości, górne na ludzi spojrzenie, arystokratyzm, stąd sztuczne dorabianie koturnów do biednej rzeczywistości, stąd aktorstwo wyhodowane w salonach, stąd — co jest ważne — zrywanie z rzeczywistością w dziedzinie uczuć. Rzadko spotkać poetę, któryby niósł w życiu tak mały kapitał przeżyć uczuciowych.

Szedł na szczudłach, a w ten sposób daleko zajść nie można. Norwida losem było, że zrazu robił zawsze dobre wrażenie, nawet imponował i to trwało, dopóki się mógł utrzymać w swojej sztucznej postawie. Ale gdy zeszedł ze szczudeł, przestawał być interesującym, a nawet stawał się dokuczliwym. Tem się tłumaczą jego zawody miłosne. Wszystko idzie dobrze, dopokąd salonu i gry; na stopę codzienną żadna kobieta nie chce z nim życia dzielić. Tak się też kończą wszystkie przyjacielskie stosunki, pomimo że Norwid, potrzebując pomocy materjalnej ze strony przyjaciół, dbał o stosunki z nimi. Stosunek z Bohdanem Zaleskim był dłuższy, ale to nie była przyjaźń. Zaleski był ze wszystkimi w „przyjaźni".

Zapytacie, co jest tak ważnego w tem, że Norwid imaginował sobie królewskie pochodzenie po matce, książęce po ojcu? Śmiesznostka, nic więcej. Tak nie jest, bo taki pozornie drobiazg decydował o tem, czem Norwid czuł się sam, jako punkt w dziejach i jak na dzieje patrzał. Wskutek dwoistości swego poczucia on sam potrafił w siebie wmówić to, co dla nas wydaje się grą; to był już kompleks psychiczny. Samopoczucie gorzkie mówiło mu o smutnej rzeczywistości, z którą się trzeba borykać, jako o kłamstwie. Prawdą zaś jest to, co niegdyś było i co być powinno. Rzeczywistość dla niego była rozdrożem między utraconą przeszłością a zdobywaną przyszłością.

Nietyle jest ważne to, co sobie poeta myśli dyskursywnie, lecz to, co ma w naturze, co mu się udziela sensualnie, od czego jego wyobraźnia opędzić się nie może — to, co decyduje o kącie jego patrzenia na świat. Kto wie, czy patrzenie historjozoficzne na człowieka stałoby się jednym z głównych motywów jego poezji, gdyby sam osobiście nie czuł się ofiarą dziejów. Pamiętajmy, że Norwid nie był profesorem historji, lecz poetą. Poglądy historjozoficzne nawet musiały mieć oparcie w jego subjektywnem poczuciu. W założeniu jego poglądów historjozoficznych leżało uczucie żalu: była świetność, była prawda; świat jest w dekadencji. Takie uczucie wytwarza chorobliwe stany żółci: sarkazm, zgryźliwość, pogardę.

7. Przeczytałem niedawno bardzo ładną rozprawę Tadeusza Makowieckiego „Stygmat ruin w twórczości Norwida"[4]). Autor utrzymuje słusznie, że tytuł „poety ruin" przysługuje Norwidowi w większym stopniu, niż Krasińskiemu. Norwid, widząc ruiny, „myśli o ruinach innych, o ruinach świata wewnętrznego, epoki, kultury, charakterów". Makowiecki wyjaśnia potem, skąd się wzięło to rozmiłowanie poety w ruinach. Poznał się z niemi poczas studjów malarsko-rzeźbiarskich we Włoszech, pokochać je nauczył go Krasiński. Mojem zdaniem „stygmat ruin" sięga głębiej. Norwid patrzy na świat przez pryzmat swego osobistego ustroju — wszystko mu się jawi w kształcie ruin. Bardzo też mądre jest spostrzeżenie Makowieckiego:

„Stygmat ruin, widoczny wśród tematów wierszy Norwida, w tłach jego poematów, w składnikach wyrazów i porównań, — będący glebą dla wielu myśli i spostrzeżeń, sięga poprzez konstrukcję niektórych utworów, przez teorję przemilczeń i białych kwiatów, aż po styl i składnię zdania Norwida, ba — nawet po jego pisownię, by dotrzeć w głąb do wewnętrznej postawy twórcy wobec zjawisk życia".

Według mnie, stygmat ten odwrotnie bierze początek w „głębi wewnętrznej" i kładzie się na dziełach; dla tego poczucia przedmiotem radości estetycznej były ruiny gmachów historycznych, a zarazem świętością, której tknąć nie wolno.

Norwid nie przezwyciężał ruin, jak np. Wyspiański, któryby je dźwigał, aby żyły nową wielkością. Norwid nie miał w sobie tej żywotności. Dla niego ruina była rzeczywistością, tworzenie — koncepcją filozoficzną, dedukowaną z wielkiej teorji pracy powszechnej, ale idącą nie z tętna krwi, lecz z nakazu etycznego, ze służby ideowej.

Cała poezja Norwida — to bezwiedne stwarzanie ruin malowniczych, to zwycięstwo stygmatu ruin. Choćby „Promethidjon" — poemat tworzenia, a jaki to piękny obraz ruin, odkopanych z duszy kawałkami: parę przepięknych kolumn, fragment podbudowy, wreszcie niedbale rzucone w prozie głazy, jeszcze nie szlifowane. Weźmy takie „*A Dorio ad Phrygium*": ruina w prześlicznym pejzażu.

Przeczytajcie (dodane na końcu dla ozdoby wykładu) w „Rzeczy o wolności słowa" widmo ruin Palmiry, płynące z prawdziwego uniesienia poetyckiego. Sam poeta przeląkł się swego uczucia, które mu powiedziało, że ruina jest „całością", której tknąć nie wolno, że w ruinie dzieje się jakieś misterjum, które sprawia, iż w niej „dzieło zniszczenia i dzieło tworzenia harmonijnie się kędyś łączy i spierścienia".

ZYGMUNT WASILEWSKI

---

[4]) Miesięcznik „Droga", nr. 11, poświęcony pamięci Cyprjana Norwida, od str. 1144.

GŁOSY

Dla każdego stało się w ostatnich tygodniach jasne, że sojusz polsko-francuski funkcjonuje w sposób niedoskonały. To pogorszenie w stosunkach międzysojuszniczych fatalnie przypada na czas największego rozstroju, i niemal zaniku, niezależnej opinji politycznej w Polsce. Zasłuchana w głosy prasy i radja, wychowywana na zbiorową papugę, oduczona już prawie trzeźwego myślenia o sprawach politycznych, i zwłaszcza nie mająca pojęcia o życiu i psychologji narodów zachodnich — opinja nasza szczególnie mało ma w chwili obecnej danych do wytworzenia sobie samodzielnego sądu o kwestji tak kapitalnej, jak dziedzina stosunków polsko-francuskich. W coraz większej mierze przyjmuje dla siebie rolę echa — echa plotki i różnych głupich okrzyków, rozbrzmiewających w prasie. Szereg lat, w ciągu których obywamy się bez oświadczeń urzędowych w dziedzinie polityki zagranicznej (nie licząc chyba kwadransów), i bez luksusu swobodnej dyskusji o tych sprawach — ten szereg lat zrobił swoje. Jako całość myślącej opinji polskiej — źle zaiste jesteśmy przygotowani na chwilę, kiedy stosunki polsko-francuskie wyraźnie się pogorszyły, i kiedy zdrowa reakcja tej opinji jest konieczna. Z niezależnych funkcyj jedno jeszcze społeczeństwu zostaje: — zdolność niemego zdumienia. Korzysta ono jeszcze od czasu do czasu z przywileju zdumiewania się niemo. Niedawno osłupiało, kiedy tak nagle stosunki polsko-czeskie się popsuły. Obecnie, nawet wtórując biernie echom polemik, prowadzonych w prasie, i zaciemniających istotę rzeczy, nie przestaje szczerze się dziwić, że tak nieszczególnie jakoś prosperuje sojusz, który—jak tłumaczą—leży przecież „w naturze rzeczy” i odpowiada najwyższym interesom politycznym stron obu... Co się dzieje?

Przyuczeni jesteśmy do mniemania, że w polityce rządzą tylko interesy. Niebezpieczna to, bo w dużym stopnia fałszywa wręcz doktryna. Elementy sympatji i wzajemnego zrozumienia, tradycyjnej przyjaźni i tradycyjnej nienawiści odgrywają w polityce międzynarodowej ogromną rolę, i w wielkiej mierze ułatwiają lub utrudniają te stosunki między narodami, które „interes” abstrakcyjny (jeśli taki istnieje) nakazywałby im utrzymywać. Słabą stroną dzisiejszego nacjonalizmu jest, że względy bliskości i krewieństwa cywilizacyjnego między narodami nie są należycie doceniane. Zadziwiająca rzecz, jak łatwo wszelkie dowolne kombinacje, rzekomo podyktowane racją stanu, znajdują wiarę u szybko piszących publicystów. Niedawno przedostała się do prasy fantastyczna plotka o nowym, mającym zastąpić przestarzałe układy, sojuszu Polski, Niemiec i Japonji... Niema rzeczy tak śmiesznej (gdy modne są kombinacje), którąby nie mogła na chwilę znaleźć w prasie gościnnego przytułku. Z drugiej strony wiara w supremację abstrakcyjnego „interesu” sprzyja lekceważeniu czynników psychologicznych w stosunkach między narodami. Niejednemu wydaje się, że skoro sojusz polsko-francuski jest „koniecznością”, to może sobie istnieć przy całkowitym choćby zaniku sympatyj i przy gruntownem nierozumieniu się obu narodów. Okazuje się jednak, że nawet stanowczo wynikający z natury rzeczy sojusz może się popsuć, jeżeli go przez długi szereg lat nie pielęgnować zupełnie.

Jeżeli zważymy, od jak dawna i jak bardzo zaniedbana była pielęgnacja tego sojuszy, to zdziwimy się przedewszystkiem, że dopiero teraz skutek zaniedbań tych zaczął ujawniać się w sposób dla wszystkich oczywisty. Nie zdajemy sobie naogół sprawy, w jakiej mierze to przymierze, oficjalnie zawarte w r. 1921, scementowane było przez pewne tradycyjne pojęcia i fikcje, jak wielką w tem wszystkiem rolę grały niektóre, odziedziczone zdawna — tradycje historyczne. Były ambasador angielski w Berlinie zapisał w swoich pamiętnikach typową rozmówkę, jak Weygand, przyciskany przez innego dyplomatę angielskiego o racje, dla których Francja tak ściśle wiąże się z Polską, odpowiadał uparcie i napozór nielogicznie, że Polska to naród bohaterów... Różne te czynniki sympatji tradycyjnej, żywe zwłaszcza w starszem pokoleniu, słabły jednak obustronnie w miarę, jak powojenna rzeczywistość polityczna dawała znać o sobie coraz brutalniej. Pojęcie o Polsce, jako o przedmurzu cywilizacji zachodniej nad Wisłą, coraz trudniej mogło w czasach ostatnich znajdować dostęp do głów francuskich, w Polsce zaś sympatje do Francji, silne i tradycyjne w pewnych kołach, miały jednak przeważnie charakter wybitnie koteryjny.

Z jednej strony znalazła u nas swych (dość nielicznych zresztą) adeptów i admiratorów masonerja francuska, z drugiej — antyrepublikański, lecz całkiem po republikańsku doktrynerski obóz *„Action Française”*. Opinja polska, nawet narodowa, przywykła patrzeć na całą dziedzinę życia politycznego francuskiego jak na jeden nabierający wrzód, który niedługo musi pęknąć... Naród francuski pozostawał dla niej istotą zdrową wprawdzie, lecz niewidzialną, uformowaną wedle doktryn koteryjnych ideologów. Główna prawda — o jedności duchowej narodu francuskiego, widocznej nawet w dziedzinie polityki, i szerszej, niźli zasięg najszerszych skandalów — nie została przez opinję polską należycie zrozumiana. Polakowi, od lat żyjącemu w atmosferze wojny domowej, trudno zwłaszcza zdać sobie choć w przybliżeniu sprawę z charakteru walki partyj we Francji, i z istotnych różnic ideologicznych między niemi, tembardziej, że zamiłowany w djalektyce umysł francuski wyspecjalizował się znakomicie w akcentowaniu różnic nawet pozornych. W szczególności przywykliśmy uważać spadkobierców tradycyj rewolucji francuskiej za mniej „narodowych” od wrogów tej tradycji we Francji... Zaniedbaliśmy natomiast wystudjować cechy, wspólne myśleniu całej właściwie opinji politycznej francuskiej, co w praktyce naraża nas na różne niespodzianki. Z takich to cech np. wynika ta zadziwiająca jednolitość pewnych głosów krytycznych, zarówno w organach lewicy republikańskiej, jak republikańskiej prawicy, jak nawet w pismach kierunku monarchistycznego.

UWZGLĘDNIENIE ODRĘBNOŚCI PSYCHOLOGJI POLITYCZNEJ NARODU OBCEGO jest naczelnem zadaniem kompetentnej, i umiejącej zdążać do swoich celów dyplomacji: a nie najskrupulatniejsze choćby przestrzeganie protokułu dyplomatycznego. Widać dzisiaj wyraźnie, że tego głównego zadania dyplomatycznego nie umieli wypełnić należycie ani urzędowi nasi przedstawiciele, ani też dziennikarze i inni specjaliści od propagandy. Widać, że mówi się językiem, i używa się środków, które nie zmierzają do osiągnięcia pożądanego celu. Życzeniem wszystkich jest niewątpliwie sojusz zacieśnić: ale od szeregu tygodni odnosimy wrażenie, że coś się rozchwiewa, nie zacieśnia. Skutek ten jest, rzecz prosta, przeciwny celom, jakie polityka nasza zakreślać sobie musi. Niewątpliwie przeszkadza jej wkroczyć na właściwą drogę złe pojęcie o „samodzielności", ten „*inferiority complex*", niegodny narodu dojrzałego. Polityka narodu naprawdę samodzielnego nie mówi o tem, że jest samodzielna, i nie daje znać o tem w manierach, kaprysach i fochach.

Wszystko to nie może jej zastąpić istoty samodzielności, która polega na umiejętności osiągania własnych celów. Tymczasem jesteśmy świadkami zjawiska odwrotego: jak od pożądanego celu — najściślejszej możliwie współpracy polsko-francuskiej—polityka, w dużej mierze wbrew swej woli, oddala nas coraz bardziej. Sojusz polsko-francuski jest i pozostaje oczywiście kamieniem węgielnym naszej polityki zagranicznej. Jego podstawowe znaczenie uznane jest przez wszystkich. Uznawać wagę jego w pełni będą oczywiście także następcy tych, co dziś tak osobliwie sojusz ten „zacieśniają". Przypadnie im jednak w udziale czynić to umiejętniej.

NAUKA i LITERATURA

MIĘDZYNARODOWY KONGRES GEOGRAFICZNY

DZIEWIĘCIODNIOWY pobyt przedstawicieli światowej geografji w Warszawie dobiegł końca. Oficjalne zamknięcie Kongresu odbyło się w sali posiedzeń Warszawskiego Towarzystwa Naukowego. I znowu na tem uroczystem „plenum" zebrali się niemal wszyscy uczestnicy. Padły z prezydjum słowa uznania za niestrudzoną pracę dla organizatorów (prof. Romera i prof. Pawłowskiego); omówiono wnioski i rezolucje, wreszcie ogłoszono następny Kongres za trzy lata w Holandji. Warszawski się zakończył.

*

Wypada mi powrócić do pewnych najciekawszych szczegółów tak świetnie udanego Kongresu. Niemałą zasługą Polski jest stworzenie międzynarodowej „*Societé Lelewel*". Na wniosek wybitnego historyka kartografji, d-ra Bolesława Olszewicza, postanowiono zawiązać towarzystwo, poświęcone historji geografji (a głównie kartografji). Siedzibą na stałe ma być Warszawa. Do członków „organizatorów" weszli światowej sławy uczeni: Gallois (Francja), Wright (Ameryka), Almagia (Italja), Herrmann (Niemcy), Svambera (Czechosłowacja), wreszcie z Polski: Romer, Pawłowski, Semkowicz i wnioskodawca, który ma w najbliższym czasie opracować statut i rozesłać okólnik. W roku przyszłym rozpocznie się działalność; wydany zostanie rocznik z bibljografją krytyczną, inwentarzem map oraz opublikowaniem „monumentów".

Na najwyższe superlatywy zasługuje działalność — rzec można — społeczna naszego Wojskowego Instytutu Geograficznego. Szef, pułk. dypl. Tadeusz Zieleniewski, postanowił wprowadzić polską mapę topograficzną do najszerszych warstw społeczeństwa. Z radością stwierdzić trzeba, że dziś korzystają z niej: harcerze, kajakowcy, leśnicy, naukowcy, a przedewszystkiem turyści. Niedoścignione są też zalety świetnej mapy. Póki mieliśmy „spadek" po zaborczych instytutach geograficznych — stale mówiło się o fatalnych błędach konstrukcyjnych. Obecnie rzeczy te bezpowrotnie zginęły i jesteśmy posiadaczami serji doskonałych „setek"; na osobne wyróżnienie zasługuje najnowsza mapa Tatr Polskich, wykonana sposobem t. zw. „fotogrametrji", czyli pomiarów na zdjęciach fotograficznych. Goście Kongresu otrzymali w darze od W. I. G.'u specjalnie na ten cel wydaną mapę Rzeczypospolitej w podziałce 1 do miljona. Jest to zbiorowo wydane, czteroarkuszowe opracowanie międzynarodowej mapy świata, gdyż wszystkie państwa kuli ziemskiej postanowiły swego czasu ujednostajnić dla celów poglądowych swe kartograficzne wydawnictwa. Drugim darem jest „kongresowy" numer „Wiadomości Służby Geograficznej"; zawiera on rozprawy z dziedziny historji kartografji, głębokościowych pomiarów jezior Tatr Polskich, tudzież w rekordowym czasie napisane studjum p. Rundo o przyczynach niedawnej powodzi w Polsce południowej.

Wielkie zasługi położył W. I. G. pod fachowem kierownictwem pułk. Zieleniewskiego na polu poznania naszego Państwa.

*

Po zamknięciu Kongresu wyjechały w czterech kierunkach Polski naukowe wycieczki. Wileńszczyzna, Mazowsze, Pomorze i Poznańskie oraz Śląsk, oto ich „*itinerary*". Najważniejsze zadanie warszawskiego Kongresu spełnia się znakomicie: propaganda Polski przez wzorowo zorganizowany jej pokaz terytorjalny. Będą mieli o czem pisać przez długi czas nasi zagraniczni goście.

A gdy za trzy lata spotkamy się w Amsterdamie — odżyją zawiązane w Polsce węzły przyjaźni i na niejedno jeszcze pytanie o Polsce będziemy musieli odpowiedzieć. Trzeba o tem dobrze pamiętać!

JERZY MŁODZIEJOWSKI

PRZEŁOMOWA WIOSNA

PRAWDZIWĄ zasługę ma Bibljoteka Kresowa we Lwowie, wydawszy broszurę pos. Karola Wierczaka p. t. „Przełomowa wiosna r. 1918". Są to kartki z pamiętnika, pisanego bezpretensjonalnie, właściwie notatki, czynione z dnia na dzień, w czasach gorączkowego tworzenia armji polskiej na Ukrainie, od chwili przejścia II Brygady Legjonów, pod dowództwem gen. Hallera, na stronę przeciwniemiecką pod Rarańczą, aż do pamiętnej bitwy pod Kaniowem (10 maja 1918 r.).

Właśnie ta prostota, bezpośredniość stanowią największą wartość książeczki. Czynią z niej dokument historyczny, który trudno czytać bez wzruszenia, z pełnego dramatycznych chwil okresu organizowania zaczątków wojska polskiego. Widzi się na każdej stronicy, ile zapału, odwagi, poświęcenia okazywali ówcześni kierownicy tej pracy, jak ś. p. Stanisław Jezierski (kierownik tajnej Ligi Pogotowia Wojennego), Joachim Bartoszewicz (prezes Polskiego Komitetu Wykonawczego na Rusi) i inni, pośród których sam autor wspomnień niepoślednie zajmuje miejsce. Dowiadujemy się o współdziałaniu z P. O. W., która w tym czasie, na Ukrainie, szła ręka w rękę z działaczami obozu narodowego. Raz po raz spotyka się takie np. fakty: „Postanawiamy, aby Petrycki (dzisiejszy poseł Stronnictwa Narodowego) z mjr. Lisem (poległym w r. 1919 bohaterską śmiercią w walkach na Wołyniu) pojechali na werbunek do Odesy".

Jednocześnie, obok tych kart krzepiących, spotykamy inne, gdzie czytamy o rozbijaniu polskiej akcji wojskowej przez zwolenników „orjentacji niemieckiej", czy, częściej jeszcze, poprostu przez ludzi małodusznych, samolubnych i tchórzliwych. Tak np. zapisuje autor: „O nastrojach wśród wielu ziemian świadczy uchwała Rady Ziemian Kijowskich z 9 marca. Chcieli oni oddać się pod opiekę Rady Regencyjnej, ale były tam też zdania, że nawet Rada Regencyjna jest w opozycji wobec Niemców, więc od kresowych ziemian polskich należy wysłać delegację do Berlina, bo Niemcy to panowie dzisiejsi tutejszego kraju".

Zbiór wspomnień uzupełniony jest tekstem przemówienia pos. Wierczaka, które wygłosił był, dnia 1 grudnia 1917 r., jako kierownik Ligi Pogotowia Wojennego na Wołyń, do oddziału żołnierzy polskich, opuszczających Żytomierz. I ta mowa również jest historycznym dokumentem, lepiej, niż niejedne długie wywody, wtajemniczającym w nastroje tamtych dni, w ówczesny sposób myślenia i odczuwania.

R.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Przed paru miesiącami „Tęcza" poznańska ogłosiła konkurs na nowelę. W ostatnim numerze tego czasopisma znajdujemy portrety i wzmianki biograficzne laureatów. Nagrodzeni zostali:

Helena Krumpel Zakrzewska. Z zawodu malarka. Wystawiała w Warszawie i w Paryżu bez sprzedażnego powodzenia, z pochlebnemi jednakże krytykami. Wzięła nagrody na trzech konkursach małego znaczenia. Opracowuje powieść. Pracuje również nad utworami dla dzieci i młodzieży.

Janina Badkowska. Studja polonistyczne na uniwersytecie Stefana Batorego pod kierunkiem profesorów Pigonia i Kolbuszewskiego. Doktorat na podstawie rozprawy p. t. „Rytmika Cyprjana Norwida".

Wanda Brzeska. Ukończyła wydział humanistyczny Uniwersytetu Poznańskiego, doktoryzując się z filozofji ścisłej. Pisywała pod męskim pseudonimem: Zbigniew Topór. Wydała poematy: „Wschód" i „Msza św. Polaków". Pod pseudonimem Jan Pałucki wydała powieść p. t. „Dolarowicze". Pod własnem nazwiskiem studjum: „Lata szkolne Kasprowicza" i zbiór poezyj.

Jadwiga Kwiecińska Korczakowa. Po ukończeniu gimnazjum hr. Plater-Zyberkówny studjowała śpiew, malarstwo i plastykę. Uczęszczała do szkoły dramatycznej Hryniewickiej, zdała egzamin do Związku Artystów Scen Polskich. Wzięła nagrodę na konkursie nowelistycznym w r. 1926.

Jan Mieczysław Roman Ulatowski. Ur. 7 kwietnia 1907 roku. Studja filozoficzne na Uniwersytecie Poznańskim. Artykuły, recenzje teatralne i filmowe, fejletony, nowele i wiersze w wielu dziennikach i czasopismach, również niemieckich. Współpracował w „Tęczy" od chwili jej założenia. Autor pierwszej w Polsce i jednej z pierwszych wogóle prób estetyki radjodramatu. Do tej pory bez pozycji bibljograficznej.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wielkopolanie umieją okazywać prawdziwy pietyzm wszystkim ludziom, którzy na ich gruncie zasłużyli się pracą obywatelską czy zasłynęli choćby w regjonalnym zakresie dziełem kulturalnem. Ten pietyzm znajduje piękny wyraz w „Wiciach Wielkopolskich", które — ustępując wprawdzie w formie zewnętrznej wielu innym wydawnictwom regjonalnym (takiemu np. świetnemu „Zaraniu" śląskiemu)— stoją na wysokim poziomie naukowo-literackim. Nie da się im uprzedzić w tym zakresie i „Kurjer Poznański", który pamiątkom, tradycjom i obyczajom wielkopolskim wiele miejsca poświęca. W szranki staje obecnie i Księgarnia św. Wojciecha, która i z imienia swego patrona i ze swej tyloletniej działalności związana jest nader ściśle z ziemią poznańską. Oto właśnie ukazały się w tem wydawnictwie dwie książki, które przynoszą ważne materjały do dziejów tej dzielnicy w najcięższym, najbardziej bohaterskim ich okresie. Pierwsza książka—to wspomnienia ks. bisk. Łukomskiego o arcybiskupie Stablewskim, druga—wspomnienia działacza społecznego, W. Berkana, o ks. patronie Wawrzyniaku. Autorowie byli towarzyszami, pomocnikami i powiernikami dwóch wspomnianych wielkich duchownych, więc wspomnienia ich przez swą bezpośredniość, wszechstronność i głębokie, zasadnicze ujęcie mają, przy pozorach pogawędki, znaczenie nieprzemijające. Ale nietylko znaczenie historyczne. Postać ks. Wawrzyniaka jest nam dziś równie bliską jak przed laty, a może bliższą jeszcze; rzucone przezeń hasła i wzór przezeń dany, powinny znaleść oddźwięk i naśladownictwo w całej Polsce, jeżeli mamy ją uratować od zalewu i przewagi wpływów obcych, jeżeli mamy naprawdę dążyć do jej dobrobytu, t. j. do dobrobytu wszystkich jej obywateli, Polaków. Wszak sami pruscy ministrowie skarbu (Rheinbaben) wyrażali się o ks. Wawrzyniaku z podziwem i zazdrością: „On powinienby zostać naszym ministrem finansów"; pisma niemieckie nazywały go *der ungekrönte polnische König!* Bez przesady można powiedzieć, że ocalenie Poznańskiego dla Polski jest conajmniej w połowie zasługą ks. Wawrzyniaka. On wyzwolił handel polski z rąk żydowskich i niemieckich, on bronił polskiej mowy i polskiego ducha. A równie gorącym był synem Kościoła jak Ojczyzny.

Skoro zaś o ks. Wawrzyniaku się czyta, tedy trzeba też czytać i wspomnienia o arcyb. Stablewskim, któremu przypadła rola wybitna nietylko w polityce, ale i w odrodzeniu Poznańskiego. Słusznie pisze bisk. Łukomski, że „Wawrzyniaki, Dalbory, Laubitze, Kłosowie, Adamscy, Zimmermanowie w tej szkole urabiali się duchowo i społecznie". (J.B.)

*

Nakładem Wydawnictwa Zakładu im. Ossolińskich we Lwowie ukazał się szereg podręczników dla uczniów szkół powszechnych i gimnazjalnych: J. Balickiego i St. Maykowskiego „Okno na świat" (VI rok nauki) J. Dańcewiczowej „Ćwiczenia i wiadomości gramatyczne" (V i VI kl.), B. Iwaszkiewicza „Geometrja" (II kl. gimn.), A. Chałubińskiej i M. Janiszewskiego „Geografja Europy" (II kl. gimn.), J. Piprka „*Unser Buch*" (I gimn).

NAKŁADEM ZBIOROWYM

Wobec trudności znalezienia nakładcy wśród księgarzy i wydawniczych instytutów, zubożonych lub uzależnionych politycznie, — zwracam się do miłośników literatury, aby ułatwili mi wydanie książki w drodze prenumeraty.

Praca moja jest fragmentem mało znanych dziejów literatury polskiej z połowy XIX wieku i ma tytuł: „Norwid". Cena książki w prenumeracie 4 zł. Osoby, które do 1 listopada r. b. nadeślą tę kwotę, otrzymają książkę tej jesieni bez ponoszenia kosztów przesyłki.

Zamówienia i pieniądze proszę kierować do Administracji „Myśli Narodowej": Warszawa, Jerozolimska 17 przekazami pocztowemi lub czekami P. K. O. — konto „Myśli Narodowej" nr. 3.105 (z oznaczeniem, na co i podaniem swego adresu). Łączyć można tę operację z przesyłką prenumeraty na „Myśl Narodową".

ZYGMUNT WASILEWSKI
Redaktor „Myśli Narodowej"

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Wśród książek, zajmujących się stosunkami politycznemi Francji, wyróżniają się dwie, świeżo wydane, mianowicie: Daniela Halévy *„La République des Comités"* i L. Mirman'a *„La Route Nationale"*. Autor „Republiki komitetów" wykazuje w pracy swojej, jak rozkładający się, po Panamie i bulanżyzmie, parlamentaryzm francuski szukał oparcia w „komitetach" stronnictw radykalnych i socjalistycznych. Głównem zajęciem owych Komitetów był podział łupów wszelkiego rodzaju (stanowisk, wpływów i t. p.). Halévy kreśli tu szereg sylwetek znaczniejszych polityków typu komitetowego, i dochodzi do ostatnich czasów. O b. premjerze, Kamilu Chautemps wyraża się

w ten sposób: „Sługa urodzony, sługa zupełny wielkiej mafji... w tym samym czasie, kiedy odmawiał wszelkiego śledztwa w sprawie Stawiskiego, ośmielał się domagać od Izb uchwalenia ustawy, przeznaczonej do ochrony przed oskarżaniem parlamentarzystów i urzędników".

Bezdroża polityki trzeciej Respubliki, jej niezgodność z najżywotniejszemi interesami narodu francuskiego, przedstawia również L. Mirman, b. wysoki komisarz Metzu i długoletni parlamentarzysta. Wyniki jego rozważań są także nader ujemne dla rządu „komitetów". Zwłaszcza w sprawie najważniejszej, mianowicie obrony kraju, autor stwierdza ich szkodliwość. Co zaś do innych spraw, to między innemi, tak je oświetla: „Jeżeli we wszelkich dziedzinach: myśli, literatury, nauki i sztuki Francja zajmowała stanowisko wybitne, to swoje pierwszeństwo zawdzięcza przymiotom właściwym genjuszowi francuskiemu, a nie mizernemu— materjalnemu i moralnemu — poparciu, jakiego uczeni, literaci i artyści doznawali w Respublice". (W. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

IPS I ZACHĘTA

NA OKRES LETNI obie nasze instytucje wystawowe, IPS i Zachęta, urządziły pokazy malarstwa, w lwiej części retrospektywnego, przedewszystkiem z myślą o Polakach z zagranicy. Starano się więc w obu wystawach uwzględniać w szerokim zakresie temat i wedle pewnej treści obrazy grupować, by rodakom, przybyłym z obczyzny, przypomnieć ziemię rodzinną, lud, najbardziej z nią zrosły i dawny polski obyczaj..

Na tej podstawie zorganizowane pokazy, przybrały nazwy w Zachęcie: „Polska i jej lud w malarstwie", w IPS'ie „Życie polskie w malarstwie", przyczem ta ostatnia wystawa została oficjalnie poświęcona II-giemu Zjazdowi Polaków z zagranicy. Tak się jakoś złożyło, iż właśnie konserwatywna Zachęta pomyślała o pokazaniu dzieł piewców ludu naszego w plastyce, gdy tymczasem z wielu prac, rozwieszonych w bardziej postępowym IPS'ie, można wnioskować, iż życie w dawnej Polsce polegało na tem, że panowie jeździli na polowania (Fałat), a w wolnych chwilach polecali się portretować przed gankiem swego pałacu (Juljusz Kossak).

Żart żartem, wystawa w IPS-ie — jeśli tytuł obowiązuje — nie uwzględniła wielu stron naszego życia. Jest to dość luźna zbieranina obrazów, zawierająca jednak sporą ilość pierwszorzędnych dzieł dawnego malarstwa i to przeważnie mniej znanych, gdyż ze zbiorów prywatnych. Zasługuje więc bezwzględnie na obejrzenie.

Drugim gestem (mniej szczęśliwym) zachowawczej Zachęty było uwzględnienie w wystawie dzieł malarstwa współczesnego, niezawsze w najlepszych okazach, czego natomiast bardziej współczesny IPS wogóle nie uczynił. Wystawa w Zachęcie została urządzona bardziej przejrzyście, ogólne wrażenie psuje tylko zbytnia łatanina właśnie temi, czasem nie najlepszemi, obrazami malarzy doby obecnej.

Podział prac w salach Zachęty został dokonany na podstawie tematu, tak np. jedną z nich zatytułowano: „góry", drugą — „niziny", trzecią — „morze i rzeki". Taka klasyfikacja ułatwia bezwątpienia publiczności zorjentowanie się w materjale wystawowym, może też była pomocną i samym organizatorom wystawy. Co do tematu „góry" niema żadnych wątpliwości — ostatecznie gór w Polsce nie jest tak wiele; z morzem także można sobie poradzić, obawiam się tylko kłopotu z „nizinami". Podejrzewam, iż *jury* wiele obrazów kwalifikowało do działu „nizin" poprostu wtedy, gdy nie dostrzegło na nich ani gór, ani wody. W ten sposób znalazła się tu „Rezurekcja" Piechowskiego, „Pisklęta" Kotsisa i t. d. Tak, tak, klasyfikacja to jednak niebezpieczna rzecz...

Jak widać, chociażby z podziału, krajobraz na wystawie przeważa, choć nie brak również tęgich obrazów rodzajowych z życia ludu. Opierając się na zebranym materjale można sobie już naszkicować ogólny zarys rozwoju polskiego malarstwa krajobrazowego, na przestrzeni 19 i początku 20 stuleci. W 19-tem stuleciu nie brak okresów, w których przeważało mniemanie, iż pejzaż jest malarsko pośledniejszym tematem. Pierwotnie pojawiał się on tylko jako dodatek, i to pojęty dość konwencjonalnie, w kompozycjach figuralnych, daleko rzadziej w portretach, posiadających zazwyczaj gładkie, abstrakcyjne tło, lub zamarkowane wnętrze.

Pierwsze próby samodzielności pejzażu były dość nieśmiałe; ujęcie nie nazbyt oryginalne, pod wpływem szkoły niemieckiej wyrosłe (Breslauer) pozbawiało widoki rodzime piętna swojskości. Krajobraz ten ma wszelkie cechy pejzażu realistycznego, sumienność drobiazgowego notowania bogatej w kształty i plany perspektywiczne treści terenu. Pejzaż taki, o charakterze przedewszystkiem rysowniczo-kompozycyjnym, temi właściwościami różni się od pejzażu współczesnego, który kształty bardziej uogólnia, wypowiadając się więcej sylwetą i plamą. Objektywne stanowisko wobec krajobrazu ulega zmianie, malarz nasyca swe dzieło pierwiastkiem uczuciowym, cechującym w pewnym stopniu i niektóre utwory dawniejsze (np. rzewność Szermętowskiego, nastrojowy romantyzm widoków tatrzańskich Gersona). Teraz pierwiastek liryczny dominuje, nuta sentymentu, jaki malarz żywi dla odtwarzanej przez się rzeczywistości, przepaja jego pracę, udziela się i widzowi (Chełmoński). Ta nuta jest już cechą narodową polskiego malarstwa krajobrazowego, cechą, która odróżnia je, między innemi np. od większości dzieł malarstwa francuskiego.

Lud, który się pojawia na tle tych pejzaży, wygląda zpoczątku także trochę egzotycznie. Niektóre scenki rodzajowe, np. Kostrzewskiego, swem ujęciem, zakomponowaniem, traktowaniem wreszcie, przypominają Holendrów. Przez tę obcość przeziera stopniowo spojrzenie własne na ludzi i obyczaj.

Do najciekawszych na wystawie należą obrazy: Alchimowicza („Dożynki"), Fałata („Wianek ślubny"), Gersona (pejzaże), Kostrzewskiego, Kotsisa, Maleckiego (1836 — 1900), Malinowskiego (1831 — 1892), Masłowskiego („Rynek w Kazimierzu"), Piechowskiego, Pruszkowskiego Witolda, Szermętowskiego, Witkiewicza i Zaleskiego. Do najciekawszych — oczywiście z punktu widzenia takiej wystawy.

W IPS'ie znajdujemy dwa, prześlicznie malowane portrety Rodakowskiego, wnętrza Gryglewskiego, 8 widoków Warszawy Vogla, uroczy portrecik Kościuszki — Stachowicza, cykl Matejki: „Dzieje cywilizacji w Polsce", także Kotsisa, Kostrzewskiego, Gersona i Szermętowskiego, obu Gierymskich, Michałowskiego, pozatem dużo Fałata i Juljusza Kossaka.

WIKTOR PODOSKI

OFENSYWA

„CZERWONA KAŁYNA"

Zdaje się, że jednak wypadałoby i godziło się zająć się nam literaturą i sztuką współmieszkających z nami (w dużej cyfrze) Rusinów. Jest rzeczą już nietylko zdumiewającą, ale raczej irytującą, że przywaleni produkcją rządzącej nami mniejszości obcorasowej, nie możemy jakoś wzbudzić w sobie jakiegokolwiek zainteresowania dla kulturalnego podrastania bratniego, słowiańskiego ludu. Niech tam sobie politycy robią swoją politykę, taką czy owaką, ale rozrost i rozmach kulturalny naszych Rusinów powinien jednakże wreszcie znaleźć jakiś rezonans i w literackiej „elicie" stolicy. O ile my (zawsze gnuśni, senni i tępi mikrocefale) tego nie zrobimy, to oczywiście prędzej czy później, zaopiekują się rusińską literaturą i sztuką nasi żydowie i im przypadnie zasługa odkrycia znowu jednego „nowego świata".

Narazie zastępuje nas w tem zagranica. Przesłano uprzejmie niżej podpisanemu lipcowy numer londyńskiego: *„Slavonic and East European Reviev"*, gdzie młody uczony profesor uniwersytetu z Manitoba (Winnipeg, Kanada) Watson Kirckconnel daje obszerne studjum o ukraińskiej (rusińskiej) prozie i poezji... w Kanadzie! Jak się okazuje z tego, tamtejsza emigracja ukraińska wyłoniła z siebie kilkanaście seryj talentów, wśród których nawet są kobiety-poetki: Tatjana Krojtor, Katia Nowosad.

Po francusku, po sympatycznej monografji Ukrainy Emanuela Evain (1931), przyszła teraz nowa książka Roberta Tisseranda *„L'Ukraine. La Vie d'un peuple"* z przedmową René Pinona (*„Libraire Orientale". Paris. Rue du Sabot).* Kogo więc interesuje w Warszawie ta kultura... „najbliższego Wschodu", może to sobie przeczytać. W każdym razie dłuższe przemilczanie rozwoju kulturalnego Rusinów dowodzi tylko niemożliwej krótkowzroczności, a raczej jakiegoś wprost zaślepienia ze strony naszych kierowniczych czynników kulturalnych. Emigrancko-żydowskie wyroby literackie mają kilkudziesięciu zajadłych entuzjastów i propagatorów. O Rusinach nikt nigdy nigdzie nic w niczem nie znajdzie.

Inaczej w Sowietach. Na świeżo odbytym moskiewskim zjeździe proletarjackich *pisatieli*, na uroczystym bankiecie, tuż przy Gorkim siedzi (jak to widzimy z fotografji) Mykyteńko, poeta ukraiński i autor „Bastylji", *„Bożej Matiery"*, oraz sztuki o „Ptakach i insektach". Wogóle zaś ukraińscy pisarze na tym zjeździe byli widocznie forytowami. Robiono to tendencyjnie i ostentacyjnie, aby po samobójstwie „Trzech Mikołajów", to jest Skrypnika, Strońskiego i poety Chwilowyja, zatrzeć złe wrażenie ostatnich represji, prześladowań i katorg ukraińskiej narodowej elity. Aby Ukraińcy przestali się skarżyć na ostry rusyfikacyjny kurs względem Ukrainy, stosowany przez wielkorządcę, obecnie już kijowskiego, Postyszewa, aby zapomnieli o tych, co podlegli „czystce" i siedzą po więzioniach i Sołówkach... cały szereg pisarzy ukraińskich wzięto na partyjne, rządowe utrzymanie i do państwowego wydawnictwa *(„Giszl").* Teraz już wielu z nich będzie tańczyć tak, jak im na Kremlu zagrają. Już będą grzecznie szli na pasku i tworzyli wedle *„prikazu"* i regulaminu Gorkiego. Już są więc *„błagonadiożni"* i Tyczyna i Wrażliwyj, Nedola, Dołęga, Smołyk, Semeńko, Johansen, Antonenko, Rylskij, Fyłypowicz, Żerow, Pidniohylny. To też już w tematach i w tytułach czuć nieco *prikazy* i suggestje z góry *(od wierchuszki):* Kuznarew pisze o okropnościach niemieckiej okupacji na Ukrainie, Hołowaczewskij sztukę o chińskiej armji czerwonej („Śmierć *lady* Grey"?), Natalja Zabiłła powieść p. t.: *„Traktorbud"*, a największy z nich pono talent, J. Kyryłenko powieść p. t. „Awanposty" (o walkach klasowych w kolektywach) i komedję, demaskującą intryganctwo i *„wreditielstwo"* nacjonalistów, separatystów ukraińskich. W urzędowym nakładzie wychodzi też antologja prozy ukraińskiej W. Korjaka... Podobizny zaś tych ukraińskich, państwowo-patentowanych pisarzy sowieckich dał w specjalnym luksusowym albumie-zbiorze-tece malarz Mykoła Hluszczenko (brat paryskiego malarza Michała Hluszczenki); przedmowę do tej teki wiernopoddańczej napisał M. Buraczkow; do nabycia już i w Warszawie...

W każdym więc jednak razie Sowiety, prześladując patrjotów i niepodległościowców ukaińskich, równocześnie opiekują się, wyróżniają i głaszczą tych, co machnęli ręką nad *„samostijnością"* i przeszli do „radosnej twórczości" i do porządku nad... samobójcami...

My zaś swoimi nie interesujemy się wcale. Warszawiaczki piszące nawet nie wiedzą, że Rusini u nas mają 87 perjodyków, a w tem 7 pism literackich. Nie wiedzą, że wychodzi tygodnik z ugodową tendencją *„Seljanyn"* i że istnieje firma - kooperatywa wydawnicza, specjalnie antysowiecka: „Czerwona Kałyna".

Obiecywano tłomaczenie poezji sowieckiego Pawła Tyczyny. Niema. Instytut ukraiński w Warszawie miał wydać: 1) „Pamiętnik hetmana Orlika", 2) „Pamiętnik O. Łotockiego", 3) J. Docenki: „Zimowa wyprawa r. 1920", 4) „Rys dziejów Ukrainy". Nie wydano. Również po polsku nie wydano: Jurczenki „Pamiętnik z wysp Sołowieckich"...

I otóż to właśnie!... Jeszcze nie tak dawno, jak Platon Kostecki pisał:

„jak Trijcia, tak jedyna
Polszcza, Ruś i Lytwa
Spilna nasza sława
Wsim zariwno myłe
Wilno, Kijew i Warszawa..."

I były wtedy całe szkoły, całe grupy literackie polskich ukrainofilców i rusińskich polonofilów!...

A teraz? Nietylko, że żaden z tych młodych rusińskich literatów nie manifestuje jakichś gorętszych uczuć, do narodu, który swą opancerzoną prawicą, bądź co bądź broni i chroni tych sześciu miljonów przed zatonięciem w morzu bolszewickiej r u s y f i k a c j i, ale któryś tam z nich skoncypował nawet takie nieudolne podżeganie przeciw nam Litwinów...

„Wstawaj Łytwo, wstawaj
Mendoga mecz ostry
I pid praporom Gedymina
U bij za Vylno jdy!

Wstawaj Łytwo, wstawaj
Ostry swoji meci
Pridut na pomic Lwiw i Kyjiw
Pryjdut i Krywycil..."

Namawianie Kowna, aby z mieczem Mendoga i pod sztandarem Gedymina szło na Polskę, niema dużego sensu, ale stuprocentowy kretynizmem jest dopiero obietnica, że nietylko *Lwiw* (stale nadal tam nazywany: *Lemberg*), ale i .. *Kyjiw* przyjdzie z pomocą...

Główdowodzącym armji południowej w Sowietach jest Jojne Jakir...

Czy o t a k i m Chmielnickim, czy też o t a k i m Mazepie myślał „poeta", pisząc ten wierszyk?...

Pora już jest poświęcić nieco zainteresowań stołecznych narastającej w szybkiem tempie kulturze bratniego narodu rusińskiego...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Prasa żydowska powtarza za litewskim pismem *„Lietuvos"* korespondencję z Warszawy, w której dowiadujemy się czegoś o polskiej polityce zagranicznej (przytaczamy za „Kur. Lwow.):

> „Piłsudski ma ze sobą stale blok-notes, w którym zapisane są kolejno wszystkie ważniejsze sprawy, jakie ma on rozpatrzyć i zrealizować. Po załatwieniu jednej sprawy, Piłsudski zakreśla ją w notesie, odpoczywa trochę i przechodzi z całą energją do sprawy następnej. Charakterystyczne jest, że przed każdą ważniejszą decyzją ostateczną Marszałek udaje się na Wileńszczyznę i wraca stamtąd z gotowym planem. Sprawę polsko-litewską uważa Marszałek oddawna za nader skomplikowaną. W notesie Piłsudskiego pod Nr. 11 figurują stosunki polsko-litewskie. Numery 11 i 12 zostały ostatnio zakreślone, jakkolwiek Marszałek nie uważa te stosunki za ostatecznie uregulowane i dlatego zaopatrzył te pozycje w szereg uwag. Marszałek jest jednak zdania, że może już obecnie zająć się sprawą stosunków polsko-litewskich".

*

Żydowska Agencja Telegraficzna („Nasz Przegląd" z dn. 5 b. m.) przytaczając głos *„Danziger Volkstimme"*, iż „w Polsce handel leży w znacznym stopniu w ręku żydów", których drażnienie mogłoby być dla gdańszczan niebezpieczne, dodaje: „Jak widać z powyższego, koła gospodarcze w Gdańsku zdają sobie sprawę, że bojkot Gdańska ze strony żydów polskich byłby p o c i ą g n ą ł z a s o b ą k o m p l e t n ą r u i n ę W o l n e g o M i a s t a i j e g o p o r t u".

Jakże to zmieniają się czasy! Niegdyś „koła gospodarcze w Gdańsku" zdawały sobie sprawę, że „kompletną ruiną" groziłoby im, gdyby narazili się Batorym albo Zygmuntom, dzisiaj podobno najstraszniejszem niebezpieczeństwem jest dla dumnego patrycjatu gdańskiego ściągnąć na siebie niełaskę Nalewek... I jak to teraz przesuwa się na ziemiach Rzeczypospolitej ośrodek władzy i majestatu...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM